



DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY
SŁUŻBIE I KULTURZE WNIOSŁEJ

ZDRÓJ

DWUTYGODNIK poświęcony SZTUCE I KULTURZE UMYŚLOWEJ :: :: ::

Nakładem Spółki Wydawniczej „OSTOJA” w Poznaniu. — Pod kierownictwem JERZEGO HULEWICZA.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: „Ostoja” Poznań — Plac Wilhelmowski 17. :: :: ::

Przedstawicielstwo redakcji na AUSTRO-WĘGRY: JAKÓB GESZWIND, LWÓW, (Mikołaja Reja

Prenumerata roczna (na pocztę) — 40 marek, półroczna — 25 marek, kwartalna — 14 m. rek.

Zeszyt pojedynczy 3 marki. — Przesyła pod opaską 15 fen. za zeszyt.

Prenumerata na Austro-Węgry roczna 64 korony — półroczna 32 korony — kwartalna 17 koron.

OGŁOSZENIA: Cała strona — 150 mk., pół strony — 80 mk., ćwierć strony — 45 mk., jedna ósma strony — 25 mk.

Administracja uwzględnia wypowiedzenie prenumeraty tylko na dni 14 przed upływem każdego ćwierćrocza.

ADMINISTRACJA otwarta codziennie od godziny 11-tej do 1-szej i od godziny 3-ej do 7-ej.

OD REDAKCJI: Rękopisy zwraca się po nadesłaniu kosztów przesyłki. — **Odpowiedzi na listy** za nadesłaniem marki pocztowej. — **Rękopisy bez nazwiska autora** i wyraźnego adresu niszczą się bez czytania. — — —
Redakcja nie wdaje się w dyskusje na temat nieprzyjętych rękopisów ani nie podejmuje się żadnych opon tychże.

„OSTOJA” Spółka Wydawnicza

w Poznaniu, pl. Wilhelm. 17

Telefon 5100

Opuściło prasę najnowsze wydawnictwo nasze p. t.

W przededniu nowych zadań

zbiór studiów o polskich zagadnieniach gospodarczych.

Zawiera prace następujące:

- T. Adamczewski — Przyszły Bank biletowy w Polsce
- Dr. St. Pernaczyński — O emigracji na ziemiach
- Dr. Z. Karpiński — Rola złota w polityce walutowej przyszłego Banku Polskiego
- Dr. E. Roze — Król. Polskie a Galicja — Drogi zbliżenia gospodarczego
- Stefan Haupa — Polityka komunalna w Królestwie Polskiem
- Konstanty Zachert — Zagadnienia polityki drzewnej w Król. Polskiem
- Dr. St. Wachowiak — Wychodźstwo węgierskie — nadreńskie a reemigracja
- Paweł Spandowski — Pod adresem przyszłego prawa polskiego o towarzystwach akcyjnych
- Dr. Marjan Glowacki — Przedsiębiorstwa ubezpieczeniowe na ziemiach polskich i znaczenie ich dla gospodarswa narodowego
- Stanisław Marciniań — Wpływ wojny na finansowe położenie rolnictwa w Wielkiem Ks. Poznańskiem.

Cena mk. 10.—



załatwia z członkami wszelkie interesy bankierskie.

Pożyczki na przystępnych i dogodnych warunkach.

Papiery wartościowe jako pewna i korzystna lokacja kapitałów.

Rachunki czekowe z wielkimi dogodnościami dla wpłat i wypłat.

Udziały członków przynoszą 8 procent dywidendy.

Wkładki i oszczędności oprocentowane od dnia złożenia pieniędzy po 3, 4 i 4½ procent.

ADRES:

BANK LUDOWY, Inowrocław (Hohensalza).



ZDRÓJ

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE WYJŚLOWEJ

ROK 2

LISTOPAD 1918

TOM V

ZESZYT 3

OGÓLNEGO ZBIORU ZESZYT 27.

REDAKTOR I KIEROWNIK ARTYSTYCZNY JERZY HULEWICZ.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: ZDRÓJ — POZNAŃ PLAC WILHELMOWSKI 17.

TREŚĆ: Z niedrukowanej korespondencji C. K. Norwida. Finish — Adam Bederski (inicjał Stanisława Kubickiego). U poetów — Miriam. Samskara (opowieść) — Jerzy Hulewicz (przyozdobił J. Hulewicz). Z niemieckich liryków współczesnych — spolszczył Olwid. Ekspresjonizm, Słowacki i „Genezis z Ducha” — Stanisław Przybyszewski. O tkaczu, który kochał królową — z sanskrytu przełożyła Julia Dicksteinówna. Wielki król — Amalja Hertzówna. Miscellanea.

RYCINY: Drzeworyt oryg. — Małgorzata Kubicka. Rysunek — Cyprian Norwid. Rysunek — Pablo Picasso. Drzeworyt oryg. — Małgorzata Kubicka. Łza (rzeźba) — August Zamoyski. Winieta — St. Dąbrowski. Portret K. M. (rzeźba) — August Zamoyski.



Drzeworyt oryg. — Małgorzata Kubicka.



Cyprian Norwid.

Z NIEDRUKOWANEJ KORESPODENCJI C. K. NORWIDA.

Podał DR. BOLESŁAW ERZEPKI.

I. LISTY DO WŁADYSŁAWA BENTKOWSKIEGO. Z L. 1850—1867.

Odnalazły się listy te w papierach po Władysławie Bentkowskim (1817—1887), przechowywujących się w archiwum domowym szambelana Stefana Cegielskiego w Poznaniu. Jest ich ogółem dwadzieścia. Pochodzą z l. 1850 (6), 1851 (3), 1852 (1), 1857 (2), 1858 (2), 1860 (1), 1863 (4), 1867 (1). Dodajemy, iż Władysław Bentkowski jako redaktor wychodzącego w Poznaniu *Gońca Polskiego* (1850—1851) spory poczet utworów Cypriana Norwida w tem piśmie wydrukował.

1.

Na jakiś czas muszę niczem się niezajmować — zamykam wszystko i klucz przez

okno do cudzego ogrodu rzucam, gdzie ich już 2 rdzewieje — Dziękuję bardzo za przysłanie *Gońca* — po 3 razem numeru wolałbym — Jeźlim był wam czem nieprzyjemny, przypiszcie to stanowi zdrowia mego, z którym w walce jestem — toż wszystkim, coby raczyli pytać o mnie. Pracuję, aby się nie dać smutkom — nerwom — biedom i Penelopie-myśli! Z serca na czas jakiś żegnaj i kocham was.

C. K. N.

Podobało się Panu Bogu, że jak rzeźbiarz, malarz, pisarz stanąłem tam, gdzie zwykle człowiek kończy a społeczeństwo rozpoczyna. I dla tego na odpisy prywatne, ile razy do Polski o wydrukowanie czego zapukałem — prywatne narzekania odbierając, że tam tylko koteryjne rzeczy się drukuje: Poważylem się pięścią w mury koteryjne publicznie uderzyć — nie dla mnie, bo znajdę sobie drogi i szerokie (!), ale dla innych krzyżem mym usługując. Tobie to tłumaczę, a liczcie na mnie, to jest na to, co dobre we mnie.

C. K. N.

Luźna kartka papieru; wys. 19 cm., szer. 12,3 cm. Na str. 2-ej adres: P. Władysławowi i Bentkowskiemu.

List jest bez daty, a widocznie towarzyszył on przesyłce jakiegos osobnego, dla Gońca przeznaczanego, publicznego listu, który, jak to wynika dowodnie z dwukrotnej wzmianki samego Norwida (zob. list nr. 4), doszedł rąk W. Bentkowskiego w dniu jego imienin, czyli pod datą 27 czerwca 1850 roku. W chronologicznym porządku jest to więc niezawodnie najrychlejszy z szeregu listów Norwida, które z tego właśnie czasu ocalały w redaktorskiej tece W. Bentkowskiego. Jaką była treść tej dla szerszej publiczności napisanej Norwidowej enuncjacji, domyślać się tylko możemy z rozróżnionego tonu drugiego zwłaszcza ustępu niniejszego listu. Z porównania niektórych dat i zestawienia pewnych wskazówek, zawartych w innych z tego okresu czasu listach Norwida (Zob. Cypryana Norwida Pisma zebrane, wydał Zenon Przesmycki. Tom A, część II, str. 834 i 835), można wnioskować z wielkiem do prawdy podobieństwem, iż właściwym powodem do napisania owej publicznej, a więc dla ogółu polskiego przeznaczonej apostrofy, były: czy to jakieś oświadczenie dla poety bardzo przykre i dla autorskiej ambicji jego wręcz upokarzające odmowy wydawców, czy też może perawazje i krytyczne uwagi samych przyjaciół i znajomych literatów, krążących się właśnie wtedy około wydrukowania poematu jego p. t. Trzy pytania. Wspominamy o tem szczegółowiej jeszcze w przypisku naszym do listu nr. 6. Zbyt ostre i gorzkie musiały być jednak zarzuty Norwida, skierowane pod adresem ogółu polskiego w jego publicznej apostrofie, skoro Bentkowski nie mógł czy też nie chciał zgodzić się na jej opublikowanie w swoim poznańskim Gońcu.

2.

St. Lazare 96.
1850.

Tymczasem za pamięć Ci dziękuję — Znam dobrze położenie machających rękoma, kiedy w około sen — położenie Twoje i Waższe, z którym pilnie współczuję, co inspiruję — cierpię. Zaszlij czasem jaki numer Gońca, jeżeli co budującego albo pożytecznego wie-

dzie albo bolesnego będzie. W tym polegamy na słowności Twojej.

Bogu polecam
C. K. N.

Żebyśmy się (w Księstwie) i tu nawet po groszu złożyli i kazali żelazny medal dla Augusta Cieszkowskiego wybić na pamiątkę Ligi ect. — co do tego czasu w każdym innym społeczeństwie, gdyby taki człowiek był, zrobionoby — a gdyby też Pan August z swojej strony zrobił tę ofiarę i pozwolił na to — to byście poruszyli nieruchliwą a myślącą i pieniężną szlachtę, co gdzieś po kątach w Polsce drzemie i nieruchliwość swą zwała na radykałów. Zresztą dla samego umysłu publicznego takie rzeczy się robi. To rozwija ducha publicznego —!) A zresztą, zresztą wszędzie indziej jużby to zrobiono! — i robią też indziej — i uprzedzą publiczność polską — zobaczysz. —

Zróbcie, a wspomnisz słowo moje, jaki to wywrze wpływ.

Dość jest żelazny medal z napisem tylko — toć to będzie tak mało kosztowało.

z jednej (Augustowi) z drugiej (na pamiątkę Cieszkowskiemu) (Poznańskiej Ligi) 1850.
albo i z profilem, to lepiej.

!) Tu następują trzy albo cztery słowa doszczętnie zamazane.

Zwyczajna ówmiarka papieru, złożona w formę listowego arkuszyka, wys. 19, szer. 16,3 cm.

Adres: Mr. Ladislas Bentkowski | à Posen | en Prusse.
Stemple pocztowe: Paris | 10 | Juil | 50 — Aachen | 11/7 — Aug. 14/7.

3.

Powracam jeszcze do myśli o medalu dla A. C. Zdaje mi się, żeby najlepiej było żelazny, bo to kruszec ojczysty, prosty, silny, i z jednej strony monumentalnemi głoskami prostemi

(Augustowi) z drugiej (polska Cieszkowskiemu) (myśl) niżej drobnemi 1850.

Otwórzcie na to suskrypcję (!) — miejcie tę odwagę. — Prowincja wasza umie

tylko ganić i niweczyć ludzi zasłużonych, nieumie ich krzepić miłością i dla tego nagany niczem są, tylko kochających nagany są czemś! a prowincja ta niech okupi grzech przeciw staremu Raczyńskiemu, który, powiadam wam, że cięży na niej! Zrób to.

Cyprian.

Arkuszyk listowego papieru; wys. 21, szer. 13,4 cm.
Adres: Monsieur Ladislas | Bentkowski | à Posen | Prusse. Stem-
ple pocztowe: Paris | 11 Jul | 50 — Aachen | 12/7 — Aug-
| 15/7.

Myśl Norwida, ażeby Cieszkowskiemu, właściwemu twórcy i głównemu organizatorowi Ligi Polskiej wybić ze składek publicznych medal żelazny, nie została niestety zrealizowana. O pomyśle tym Norwidowym ani w samym Gońcu, ani też w innych pismach społecznych nie spotykamy nigdzie najlżejszej nawet wzmianki.

4.

Kochany Szlachetny Władysławie

Nie będę ci długo odpowiadał, bo doktorowie zajmowania się myśleniem wzbraniają mi na teraz.

Odpowiadam ci tylko co do listu mojego przeszłego (publicznego), że spał go — że masz słuszość — że niezupełny jest. —

Jedna mi jest rzecz najboleśniejsza, to jest, że cię to na Imieniny Twoje doszło, że w dzień taki zasmuciłem Cię, to jest jedno, co mi bolesna — zresztą nic. —

Kiedys — szerzej objaśnię, co tam warto objaśnić, a teraz dodam jeszcze tę tylko ogólną prawdę, że pisarskie zdolności jako forma głównie z tych dwóch potęg się składają:

ze znajomości języka narodu

i ze znajomości języka społeczeństwa, tj. tego języka, którego jedynie się nabywa przez obcowanie z obiektywnym duchem czasu swego, społeczeństwa swego — publiczności swojej. —

Co do pierwszego, tj. co do języka narodu, tego nieznanomości zarzuciłbym sobie niepozwolił i tego nieznanomości nikt zapewne z odrobiną zastanowienia zarzucić mi niemógł i niemoże.

Co do drugiego — tj. co do języka społeczeństwa, a którego się nabywa przez

obcowanie z obiektywnym duchem czasu danego — z obiektywnym duchem publiczności... Tego nabyć nie mogłem — a dowodem na to, iż publikować mi się udało to zaledwo, czego, że tak powiem, niemożna było niepublikować i zagrzebać. Tak to pojąć należy dla wszechstronności sądu.

*

I zaraz ztąd pochodzi — iż najznakomitsi pisarze nasi, a nawet więcej niż nasi — tylko, bo urbi et orbi, jak np. Irydion albo August C!:) co od tylu czasów na mnie pisanego krzyczą — nigdy przecież w mówieniu nieznaleźli mnie niezrozumiałym — choć do tego stopnia tenże jestem, iż (daję ci słowo) rękopisma na tem samem papierze, na którym do druku je posłałam, komponowane są. Styl a człowiek u mnie więcej jednym niż u kogokolwiekby — jak w 1848 piszę kończąc pieśń „Głuchnę...“²⁾ to w 1850 głuchnę tak jak w tych czasach, z czego właśnie się leczę — a już i śleplem raz i głos traciłem także. —

*

Że zaś w trzydziestym roku życia bezowocnego wprawdzie, ale zarówno nie-próżnego, jak bez-owocnego — człeka szczerze odmienić od jednego razu niepodobna, więc musimy już znosić się nawzajem — tylko ja z mojej strony ustępować winienem, jako ja i o ile ja, to też ustępuję, jako widzisz.

*

Dziękuję ci więc za uwagi Twoje i proszę zniszczyć co-c byłem pisał.

O Psalmie-Psalmów nic wiedzieć nie chcę tak jak o żadnym rękopiśmie moim —

¹⁾ Oczywiście Zygmunt Krasiński i August Cieszkowski.

²⁾ Por. Pieśni Społecznej cztery stron (edycja Zen. Przesmyckiego, t. I, str. 114):

„Głuchnę, ślepnę — w górę lecę,
Oślepnę, nie świecę...”

niemam sił bronić ani poprawiać — nie piszę dla rozrywki. —

Zresztą — niczem się teraz niezajmuję — poczuwszy, iż tracę siły zmysłów, zatrzymuję się. Tak wstrzymałem się dawniej, kiedy traciłem wzrok, później, kiedy mówę — teraz, kiedy słuch tracę.

*

Z duchem jest tak jak z wodą — z-mieć ją w dolinę z gór, to od-tryśnie na niebo o całą miarę poniżenia. — Tak z duchem Polski dziś. Nie wszystko co nad-logiczne jest przeciw-logicznem.

*

Odpowiadam Ci więc, jako chcesz, że odwołuję, co byłem pośpiesznie przesłać ci — że proszę, zniszcz to — i że mi jest boleśnie, że Ci imieniny Twe zmięszałem.

Bogu polecam

C. K. N:

Zapewne wyjadę na wieś z Augustem¹⁾ — gimnastyka, kąpiele i jazda konna i Łaska

¹⁾ Cieszkowskim.

P: Jezusa zdrowie mi jak powróci — powrócę.

ramie twoje ściskam najserdeczniej.

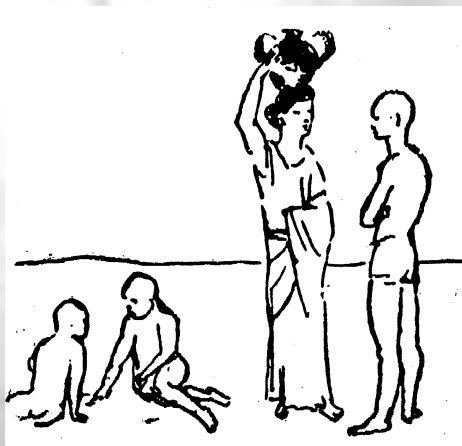
(Słowa dopisane już po zamknięciu listu na 4-tej stronie arkusza):

odpisz parę słów, że zniszczyłeś przeszedł list.

Arkusz listowego papieru formatu dużej ćwiartki; wys. 26,9 cm., szer. 21,1 cm. Tekst listu zajmuje str. 1,2 i 3. Adres: à Monsieur Ladias | Bentkowski | à Posen | en Prusse. Stemple pocztowe: Paris | 26 | Sept. | 50 — Aachen | 27/9 — Aug | 30/9.

Na przyjazne i życzliwe uwagi Bentkowskiego, który tymczasem ze swojej strony starał się wytłumaczyć Norwidowi niemożność wydrukowania w Gońcu jego publicznego listu, nastąpiła niebawem niniejsza spokojna i pojeźdnawcza odpowiedź poety, pełna cierpliwej rezygnacji i pobłażliwej dla akrapułów Bentkowskiego wyrozumiałości. Przedewszystkiem zastanawiają w powyższym liście Norwida jego bystre i rozumne spostrzeżenia o języku narodu i o języku społeczeństwa, a są one zaiste bardzo ciekawą ilustracją i zarazem cennym komentarzem dla dzisiejszego badacza owej przysłowiowej na-óczas niejasności i niezrozumiałości naszego poety. — Ciekawą i ważną, jest także wzmianka o niedrukowanym dotąd utworze Norwida p. n. Psalm Psalmów, którego niestety odszukać dotąd nie zdołaliśmy. Według przypuszczeń naszych wiersz ten odnaleść się powinien pomiędzy papierami Augusta Cieszkowskiego w Wierzenicy.

(C. D. N.)



Picasso. — Artyści cyrkowi.

FINISH



Aczkolwiek przypuścić należy względność przejawów żywotowych, bolesnych skrętów biologiczność i stępująco odwieczne tam-tam powrotu w te same konieczności i plugawe dogmaty,

wypada notować skrzętnie fakty, choćby rozlewnością przykre, ruchy przeliczać gimnastyki ratunkowej. (Komu?: dativus incommodi).

dy opuchłymi palcami w pierwszym przerażeniu (skąd, skąd rumienił się wstydem) biegać zaczął po stołu ostrościach, zapalek, nożyc i twarzy własnej, uczył poprzez mdłą świadomość naglej czczości i tępoty (ciągle jeszcze „skąd“ dziecięcej) jedno tylko: w nieznane nieba powstaje ogromne, obojętne i przeraźliwie groźne „Tłok“ szepce i „potworny“ i boi się. Jak zwierzę. Oczy drżą, w strop odjazdów koniecznych świst, jazda szaleńcza, turkoty i pęd mimo. Lej wzrasta powoli, wzrasta. Wie, że pochłonie go. Lej.

Małe, urywkowe drgawki rąk. Stwierdzenie: piersi, serce bije, Boże, przecz widzę jeszcze, i podrywy siły rwącej go. Wprzód, uspokaja siebie. Asocjuje zresztą „maelstrom“ i szuka cylindrycznej beczki Po'ego.

I znów: tajemne, ciężkie morza w obcym rytmie powolnych chlupotów kołysały niebem. Milczące, poważne i straszliwych pełne przyrzeczeń.

W czas, gdy skandując głowę kłonił powolnie, poważnie, milcząc, wzrasta strach.

Nieuchronnie.

Znane i cenione świdry zwątpień i ostrych odróżnień idą w miękkość, zaś granitu zwyczajna okleja się o poddańcze oślizgi, gnie się i pada, i powrotna świadomość: morze — ołów — potworny — lej. — Pociąg pędzi na ścisłe ułożonych relsach. Te idą promienną nicią. Wprzód, wprzód. Antraktami enforja taneczna.

Przemowy i miłość ku przedmiotom nie starczyły ku ukojeniu: obrzęk tłusty nie pozwalał na różniczkowanie. W gardle chryp krzyku nagłego, ramiona milcząc rozważały się w gwiazdy: gestem ratować się myślał. A wargi w krzyż upadłego muł żuć zaczęły, zmysły nie referowały apercpcji.

Trwoga (chwilami słowo „trwoga“) — morze — śmierć (błędne powiązanie na „wiczny upakoj“ zabawia) i między ciężkim fal kolebem daleki jazgot kinematograficzny

— V A C U U M —

Strop.

Natura horret, inaczej etap wtóry poczęto.

Gest świadomie, fałszywym, wzdurliwym mięśni skurczem, mózg targany ściera się z kleistym pyskiem mięczaków, ustępliwych i drapieżnych. Wszystko pędzi wstecz. Wie: pociąg, turkot, wszystko wstecz, niknie i dłonie wokół czoła „żali pamiętam“.

Tan o życie tętni.

(Ciągłe jeszcze. Łacniej zbydlęcieć, człeczce, niż się uanielić.)

Litanijskie wpieranie w siebie „żyjesz“ obmierza jednakże powszedniością i trudem. Jeszcze gorączkowe chwytywanie się osi. Żerdź martwa pada. Teleologje zawodzą. Pociąg rwie, relsy, wreszcie groza mórz zimnych.

Uszy słyszą, oczy widzą, patrzą, tępota, tępota.

Przeczuwa straszliwe milczenia i godzin samotnych ogłuchłość. Ból. Niknące zarysy jaźni fosforyzują: „Jeszcze“, aczkolwiek smutne pas ćwiartowanej woli nie umożliwia introspekcji.

Stacja przedostatnia.

Kłamie oczom czarną na żółtem tle elipsę. Całuje z przekonania czystość linii i tuż potem lepkimi ssawkami drze się sam ku szczytowi, trawi milimetrami ekwator. Elipsa czernieje i zagnęła krwawi się popod szeptem: „Jam jest“.

Kiwa głową: Bóg.

Śpiewa murzyńskim songiem.

Słońce czerwone, księżyc czerwony, serce czerwone,

Słońce stargane, księżyc stargany,

Dłonie kobiece miękkie były, dłonie i „Ty“ i „Ciebie tylko“ — „Ostatnia przystań“ majaczył poprzez twarde mózgu zapory, w pamięć każdy wwierał dotyk, spojrzenie każde. Modlił się „Nie opuszczaj“. — Miękkie kobiece dłonie. Oczy szły wpobok tklivości i rzeczy w pustkę. Płakał już tylko „mórz“.

Udręki gasną, bolesne ongi reflektory. Ciemno, pociąg dyszy, rwie. Pamięć zagasa.

Ostatnia rozpacz (przedśmiertny strach poprzez mgły): „Zgubiłem się“ szeptem i uśmiecha.

Uśmiecha.

Nareszcie.

Wszystko wokół wrasta ogromne. Niebo obce, strach obcy, pustka obca, sam. Rozmowy z znajomymi (ciągle mówi telefonem, łączniki zepsute, słów brak, słów).

Ostatnie wspomnienie: dziecięcość przez kobietę i płacz, czy płacz. Bełkocze „Ty“ i jest daleko.

Relsy płyną, ku morzu, bieg szaleje, bieg, groźby przydrożne, lej, olów, morze, płacz, słońce, czerwone, telefon, serce, dłonie.

Tu pochodnia litości wielkiej kładzie go pod pociąg, wiozący miastu bydło. Młode cieleńta idą na rzeź.

U POETÓW

MIKOŁAJ LENAU.

Z „PIEŚNI LEŚNYCH“.

IX.

*Wkrąg niemość jakaś w barw przemianie:
Tak miękko bór powiewy muszczą,
By liść wyludzić drzewom, kuszczom;
Kocham łagodne to konanie.*

*Wyraj precz cichy w dal daleką,
Przebrzmiał już czas miłości słodki,
I dośpiewane ptasie zwrotki,
I suche liście lecą lekko.*

*Ptaki w południa ciągną stronę,
Z gęstwy się jawią obnażonej
Gniazda, nieładne już ochrony,
Liście spadają wciąż, znuzone.*

*Tę ciszę miękko rozszemraną
Przewiewa, zda się, zwiastowanie,
Że wszelka śmierć i przemijanie
Tylko ukrytą są zamianą.*

TRZECH CYGANÓW.

*Trzech cyganów spotkałem raz,
Leżących pośród kuszczy,
Gdy się mój wóz, w zmierzchowy czas,
Włókł z biedą piaskiem puszczy.*

*Jeden miał w ręku skrzypce, smyk,
I grał, ot tak, dla siebie,
Jakąś ognistą pieśń, gdy nikt
Zachodu blask na niebie.*

*Drugi ćmił fajkę, w modry dym
Wpatrując się leniwie,
Rad, jakby mu na świecie tym
Nie brakło nic, jak żywie.*

*A trzeci spał, na sosny pniu
Zwiesiwszy swe cymbały;
W strunach wiew błędził niebłós tchu,
W sercu marzenia grały.*

*Odziewek mieli wszyscy trzej
W pstrych łatach, dziurach wkoło,
Lecz, drwiąc zuchwale, losom — hej! —
Umieli stawiać czoło.*

*Trofaki przykład uczył mnie,
Jak — gdy chce życie prażyć —
Przeskrzypić, przećmić, przespać je
I trzykroć zlekceważyć.*

*Czas długi w tył za trójką tą
Patrzałem, jadąc dalej,
Za lic śniadością, trenic skrą
W kędziorów czarnych fali.*

MIRIAM.



Dramoryt oryg. — Małgorzata Kubicka.

JERZY HULEWICZ

SAMSKÂRA



óziem niezdzierżona
przeżyć tajemnicą i w nich
zakłète poczyną źródło.

Nieprzeorane ziemi
pokłady święte są, dzie-
wicze — iże nietknięte
mózgiem, ni dłonią.

Tajemnica Duchowi
oddana jest, przeto Du-

chowi siostrzycą jest i kochanką.

Kazirodczy jest Duch — tajemnica przeto jego jest.

Błogosławiony płód, który z tajemnicy wziął
początek, aby wieczności stać się żdźbłem.

Szukaj tedy mózgiem prasiłę, która z Tajemnicy
i z Ducha się poczęła — z siostry i brata, ku sromowi
twojemu i na wspak wierzeniom twoim.

Szukaj zmylonem okiem oślepiającego światła,
znaku wróżbnego, który w miłości sprzął kochanków
dwoje dla nieustannego rodzenia wiecznych poczyńań.

Szukaj bezwładnemi kończynami nieuchwytnych
form odmiany, które zjawiskami są Ducha — i celem
i wyrazem...

Patrzaj w cześć nieodgadnioną, którą poznana
mienisz. Martwemi dłońmi ugniataj nieprzeoraną glinę.

Miejże uludę tworzenia formy nowej i przyspa-
rzania jej żdziebeł wieczności.

Uludą żyj, gdy nie staje Ducha — i milcz.

Milcz jako niewiedzący — Duchem jeno bowiem
wiedzieć możesz.

Milczenia kłątwa niech spocznie na tobie, aż do
chwili, kiedy opanuje cię żądza Poznania.

To modlitwy pierwszy cień, to objawienia pierwsze
technienie.

Ducha pierwotność.

Wzgardzonej bestji forma.

Niewolnictwa forma.

Pół-forma.

Pół-zwierzę...

Zwierzę.

Teraz sądz.

Sądz człowieka, który cię stworzył i którego
tworzysz, a który wieczną ci jest zawadą. Sądz
naturę, która ci jest odurzeniem. Sądz Boga, którego
czcisz, jak czci oprawcę na rzeź wiedzione bydlę.

Sądz i patrz... Patrz i sądz... Patrz w Nędzę.

W Nędzę patrz, która po wiele kroć wymierzyla
globu ostrość i okragłość, która tłukła się po zaułkach
zmęczonego miasta i ot — pod drzewem przysiadła
na malowanej ławie, opodał rozpustnego posażka...
która tam przysiadła i zamieszkała w skulonym, zbłą-
kanym człowieku.

Osiadła w nim i jeno przez jamy oczne na
świat ciemny wyziera — straszliwie, cicho, zimno...
i jeno warg bolesne skrzywienie chudemi palcami
znaczy, a raz wraz dreszczem potrąca znękanе ciało.

Z odrętwienia zbudził się człowiek zbłąkany,
wnętrznym targnięty wstrząsem.

Przyczał się...

Uszami łowił szmer wszelki i szelest rozproszony
w nocnej ciszy.

Czekał.

Odczytał czas; pulsem własnym czas odczytał
i trwał...

Przeszedł ktoś — cień skulony przeszedł cicho.

Długi cień podwójny, a skroś podwójny światła
snop.

Krzyż mętnego światła rozciągnął się po wilgotnej
ziemi smutnej płaszczyźnie, krzyż błękitny cienia po
dwakroć go przekroił.

Boleśnie twarz wykrzywił człowiek przyczajony
na ławie. W skrzyżowaniu smug świetlnych i cieni
błękitnych wszyl wzroku swego tępe igły. Mocowały
się oczy jego z cienia potęgą i z potęgą światła.

Uległ — ramiona zwiesił bezradnie. Nie zdzier-
żył skrzyżowań świetlnych.

... Poprzez krzyż jasny przeszedł ktoś — cień
skulony przeszedł cicho; zmylił czystość i harmonję
skrzyżowań barwnych.

Zgasły latarnie. Znikł podwójny światła snop
na wilgotnej, smutnej ziemi. Długi cień podwójny
powtórzył się po wiele kroć i dziesięciokrako, wzdłuż
i wszędy przekroił ziemi siną płaszczyznę, że w jednę
ją zlał z ulicą całą, z uśpionemi domy, i z niebem,
i z przyczajonym w boleści człowiekiem na ławie.

Zaskomlał pies opodał — pies zbłąkany.

Usłyszał skomlenie człowieka na ławie skulony —
człowiek zbłąkany.

Głos pokrewny... w duszy słyszany głos...

Jęknął tęsknotą.

Szedł bury pies po wilgotnej ziemi — szedł skulony opodal.

Pomylił obłąkane czasu wyliczanie, tętno w żyłach przemienił, w żyłach człowieka, co mierzył był światła smugi, co w cieniu cienia szukał...

Zmylił pies człowieka, że w milczeniu powstał i podążył skulony za zbłąkanym cieniem psa.

Szli błędni. Poprzez cień powszechny i poprzez milczenie szli zbłąkani.

Nocy powłoka w jedno ich złączyła; szli stopieni w sobie jako mąż jeden, jako jedno zwierzę.

Jedna Nędz.

Jedna Myśl.

... Poznał się.

Psa oblicze ujrzał w sobie.

Skomlenie w piersi swej słyszał, czuł w sobie wieczne psa zbłąkanie.

Którąś późną wybijał zegar godzinę na wieży, gdy bezwolnie klucz przekręcał w drzwiach święgo mieszkania; bolesny klucza zgrzyt przeszył go od zmęczonego mózgu aż po zimne stopy.

Pokorny, w sobie skulony wszedł do mieszkania i nasłuchiwać jął, a rozglądać się jako złodziej, albo jako spóźniony z zakazanej wycieczki wyżeł, skarcenia winny a gniewu pana.

Nieutulony ból tęsknoty możniejszy wszakże był, niż lęk pokorny.

Wszedł do pokoju.

— Kto tu? — warknięcie z niewiadomego kierunku usłyszał wyraźnie. W kąt cofnął się. W mroku dwa blade okna spozywały nań bezmyślnie.

— Kto tu? — pytało coś z oddali.

Odpowiedzieć chciał. Głos zasiał ugrzązł w gardle.

— Kto tu? Kto tu? — Natarczywie głos pytał tłukąc się po głuchych ścianach a mnożąc się w przestrzeni dalekiej, gdzie między murami uśpionego miasta.

Szczeknął.

W odpowiedzi jeno szczeknąć zdołał i przeraził się głosu własnego.

Kurczowym ręki ruchem lampę zaświeceł, lecz w tejsze chwili zgasił światło pospiesznie i odskoczył w bok. Serce młotem walić mu poczęło, czuł, jako włos mu się jeży a oczy przerażeniem świecą w czarnej nocy.

Patrzył w znikłego obrazu przypomniany ślad. Zjawisko w cieniu znikło. W stronę zjawiska patrzył, fotel przed biurkiem pożerał szerokiemi, dużymi oczami.

Wielką wyteżył wzroku siłę — aż wypatrzył:

W fotelu przed biurkiem ples siedział — bury pies, kudłaty zgarbiony pies, nad stosem zapisanego papieru pochylony pies. Pisał, pisał...

Cicho warczał i pisał.

Po długiej chwili, po bardzo długiej chwili pies pióro odłożył i pilnie wlepił przyczajone ślepie w papier zapisany. Wreszcie jął czytać głośno:

„Niemniej też, Lohicco, kto mawia: niechaj asceta który, albo-li kapłan, uzdrowienia środek wynajdzie, a wynalazszy uzdrowienia środek, nikomu go nie zdradzi, na cóż przydać się może jeden drugiemu? Jakoby stare zerwał okowy, aby nowe sobie nalożyć; także dzieje się i tutaj; przewrotnem i nałogu pełnem nazwałbym: na cóż przydać się może jeden drugiemu?: taką mową Zło zgotuje tym, którzy jako szlachetni synowie sięgnąwszy objawionych przez Doskonałego nauki i ładu, pochlubić się mogą zdobyczą bogatą, jako to: słuchaczów celu ziszczenie, wcielenia i niewcielenia ziszczenie, świętości ziszczenie, tym, którzy może wzniesli się aż pod niebios próg, aby przymnożyć stawania się Nieba. Do Zła dotarłszy pozbawion jest Miłości i Miłosierdzia; Miłości i Miłosierdzia wyzbyty wrogiem jest; wrogiem zasiać będąc — błędne ma sądy; błędne sądy dwojaką otwierają mu drogę, powiadam, Lohicco: Piekło lub Zwierzęctwo.“

Zaskomlał boleśnie człowiek w kącie skulony. Pies zasiał przy biurku westchnął, kart kilka przerzucił i czytał:

„O godny czci, posiadałeś cel, dla którego opuściłeś dom swój, aby bezdomnych dzielić los, oto posiadałeś cel askezy...“

Chrapliwem [szczeknięciem przerwał nagle czytanie człowiek skulony.

Wyprężył się i wyolbrzymiał do nieludzkich rozmiarów.

Uniósł się pies równocześnie i zawiśł nad papierów stosem olbrzymi, potworny.

Człowiek krok postąpił, straszny, obłąkany i z wolna posuwał się w stronę zjawiska, w stronę olbrzymiego psa, kudłatego psa, strasznego psa.

Siebie w nim ujrzał wyraźnie; siebie poznał.

Jak kot do biurka przyskoczył i oburącz przycisnął zwoje zapisanego papieru — drapieżnie, rozpacznie.

Szarpnął gwałtownie pies zwojem papieru — daremnie.

Położył tedy łapy obie na papierów stosie i groźnie kły wyszczerzył a krwawo lyskał oczami.

Sprzęgli się wzrokiem rozszałych bestii.

— Nie ja to pisałem! krzychał rozpacznie obłąkany człowiek.

— Ty! ty! — odszczeknął pies.

— Nie ja!

— Ty!

— Nieee! Nieee!

— Aa...

W groźnym szczekaniu sprzegły się oba wrogie głosy i w jeden zwały się straszliwy skowyt, w jedno przeraźliwe szczekanie. Jako w ulicznym zaulku spotkane u celu wspólnego psy żrą się o sukę, tak żarły się dwie bestje twórcze, czworo łap krwawych położywszy na spisanym wspólnym tworze.

Nagle ucichli obaj. Ślepia wzajem wypatrzyć sobie chcieli i tak trwali długo — długo...

W krwią nabiegłym ślepiu psa utonął wzrok człowieka.

W maleńkim krążku, dwa krążki barwne promieniają ku środkowi. Promyki, niby złote igły ruchliwe, drgające do wspólnego środka bieżą i tam w ciemni toną.

Dreszcz zimny przeszedł ciało człowieka — taki chłód szedł z onego promieni ześrodkowania. W krwi otoczeniu i w ogniu chłód utajony.

Blado i zimno tajemnica pozabytu jęła przyswiecać łzawej człowieka żrenicy.

Blado — zimno.

Miesiąca tajemnica.

Słońca oszukanie.

Przystani upragnionej złuda.

Spragnion był przystani, schronienia, uciezki.

Pałił go żar psich oczu — łaknął życiodajnego chłodu; ożywczego chłodu miesiąca łaknął.

Ośrodek żrenicy z wolna w miesiąc się przemienił.

Zmylone wargi człowieka witać jęły modlitwą nieznana miesiąca zjawę.

— O przystani ducha mego! o odpocznienie skołatanego serca!

Szeptal człowiek nieznanej modlitwy obce wyrazy i w widzianą twarz miesiąca patrzył, a pies kłut nielitośnie oczu swych sztyletami, kłut, kłut — aż powalił znękanego człowieka ciało na ziemię.

Uszedł duch z stygnącego ciała człowieka, Pitriyań siłą magnetyczną wchłonięty w łono Miesiąca, jako, że wyrokiem wieczności nie między Duchy, Wiedzące, ani między Duchy Świadomości i Ofiary wyzute, ale między Duchy Ofiary zapisany został.



krzyżowania promieni światła nocnych w siatki pajęczej drżącej tkaninie — a weń wpleciona lekliwość zmiennych a ustępliwych myśli kołatającego do drzwi nieznanych mózgu. Omijają się świa-

nia są, wiecznego ducha nieustanny kłam.

Zgodność jest i układność, iż przykazanego ładu nie mając nic. Aż oto strzeli nagle myśl zuchwała, uderzy w tarczę pajęczej tkaniny, spłoszy osiadłe tam myśli a wplecionymi światła promieniami zadzwoni.

Drga szarpnięta siatka pajęcza, migotliwość nocnych promieni nieci łąny krąg szeroki...

Maleńki krąg siatki o jedno rozszerzył się oko.

Oto w migotliwość myśli wpleciony miesiąca promień ku rozszerzeniu pajęczej życia siatki o oko jedno. Oto powtórzone po roku wróżbom raz jeszcze „Ducha królestwo na ziemi“ nowe „lat trzydzieści“ nowe Ducha pokolenie: „rządy najwolniejszych i najbardziej oświeconych nad wolnymi i oświeconymi, oraz czerpanie z najczystszych źródeł poznania...“)

Oto Ducha przeobrażenie się w formie, Ducha odnowienie.

Że Duch daleki jeszcze jest Świadomości, choć między Duchy Ofiary wpisany został, przeto z uwięzi Materji wyzwolon być nie może — według odwiecznego Prawa.

Doskonałości wszelako posiadał częśćkę, wyższemu więc człowieczeństwu przydzieliła go Wszem-moc.

Poprzez księżycowych promieni pryzmat czyta tworu swego treść — tworu zapomnianego już życia.

Człowiekowi żyjącemu jeszcze życiem zapomnianem czyta treść minionego tworu, a już rozświetla i prostuje dzieła swego myśli, izby przyjaciół w życiu minionem nie trwał, ani tworem zapomnianem duszę karmił.

— Co Duch zapomni (mawiał) nie z Ducha jest, ale z Materji. Wszystko co z Ducha jest, wieczystej podlega pamięci.

Twór przeto zapomniany ginie dla Wieczności, albowiem nie ożywia go pamięć wieczna.

Twór zasię pamięci wiecznej godny, a obitujać przecież w niedostateczności twórcze, pierwiastkami materji zastąpione — oczyszczenia czeka, izby mógł wejść na drogę wiecznej pamięci.

Tak mawiał po wielokroć człowiek przyjacielowi swemu, który przyjacielem był z Ducha.

Czytał twór swój z poślódkich długim czasem zwójów papieru, z pomiętego papieru, na którym widniały jeszcze, dla oka bystrego dostrzegalne, ślady poczwórnego dotknięcia jakowegoś złego pazura.

Czytał a objaśniał wszelakie dziwy tworu swego i niedopowiedzenia — z szczerzego obcowania z ówczesnym życiem własnem płynące.

1) „Żywe kamienie“ — Wacław Berent.

tel iglice, nici pajęczce i myśli zbłąkane, lży by nie potracąły się wzajemnie.

Przyjacieli w tworze słyszany coś z siebie odnajdywał. Zwolna rozumieć poczynął, iż on, który przez długie lata młodości odtrąconym się czuł przez społeczność, iż ustępstw żadnych z ducha swego czynić jej nie umiał, który czuł się samotny duchem — on jakowegoś niewiedzanego życia jest wytworem.

Czytany utwór zdziałał był, iż poczuł koniecznością się w wieczystym życia obiegu; przeto bieg swój dalszy widzieć zaczynał. Odtąd żyć począł.

Przyjaźń obu zrodzona była z czytanego tworu; to jest: inaczej zgola, niżli bywa wśród ludzi tworzących i ludzi słuchających, gdzie czytanie tworu wpływa z przyjaźni — z niepopartej duchem, kłamliwej przyjaźni.

— Mówił raz człowiek przyjacielowi słuchającemu:

Wszelakie zaprzestań ducha działanie, którego z ostatecznością celów swoich pogodzić nie zdołasz. Nie wstrzymuj pochodu duszy twojej, albowiem spieszo jej jest do Devayāny¹⁾ i spieszo jest Bogu widzieć Mokshę²⁾ pomnożoną o duszę jedną.

Czy przeto mądrym nazwiesz i godziwem dręczenie duszy ciąglem Pitriyāny powtarzaniem, albo oddaniem jej zgola w straszliwe Yamy ramiona?

— Odrzeczcie przyjaciel:

Nie nazwę mądrym ani godziwem — ale niestety koniecznem nazwać muszę...

— Jakoż to koniecznem tobie, gdy ja konieczności tej nie czuję w sobie? zapyta człowiek.

Odrzeczcie znów przyjaciel:

— Sądzę: Pitriyānę przebyłeś.

— Nie sądz drugich źle ku obronie swojej, nie sądz zarówno drugich dobrze, ku wytłomaczeniu siebie.

— Słuszność masz, przyjacielu. W siebie jeno tedy patrzę, w życie własne, złożone z ogniw liczniejszych, niżbym je znał, bardziej splełanych, niżbym z osobna każde dotknąć zdołał; a dotknięcie każdego z nich dopiero uzdrowienie poznania dać może.

— Jednym wstrząsem, gdy targniesz łańcuch życia, jednym pełnej duszy wstrząsam, a zadzwonią wszystkie ognia.

Słysz cały życia akord, nie dźwięk jednego ognia.

Całego, pełnego wstrząsu trzeba...

Przyjaciel oczy w siebie skulił i zamilkł.

Milczał człowiek również.

Dźwięku słów ostatnich słyszeli obadwaj akord cały.

Słuchali.

Ściany słuchały i słuchały nieme, blade okna. Sprzęty domowe słuchały wszystkie; i zegar na ścianie przycichł nagle i — słuchał.

Cisza... Święta, nieskalana cisza...

Skrzypnęły drzwi. Przykro, boleśnie drzwi skrzypnęły.

Uroczystość półmroku, w którym snuły się białe cienie, zniknęła w nagłym lampy oświetleniu.

Biała dłoń wysunęła się z ciemni uchylonych drzwi i wolnym ruchem na ścianie światłość wesołą uczyniła w pokoju. W drzwiach ukazała się domu pani, przyjacielowi poślubiona. Chciała rzec coś; wszelako widok obu onieśmielił młodą niewiastę, że cofnęła się zawstydzona, wprzódy wolnym palców ruchem zgasiwszy światło.

Mrok uczynił się znówu. Zwykły mrok; uliczną latarnią zniczulony mrok.

I cisza była znów; zwykła, nie mówiąca cisza, tykiem zegara znów mącona i dolatującym gwarem ulicy.

Z hotelu powstał pierwszy przyjaciel, domu pan. Gościnnieści wierny stróż; przyjaciela wziął pod ramię.

W inne odeszli pokoje.

Yama położył rękę swą na wszystkich duszy. Uwolniły się przecież z uścisku jego te, które Devayāną już płyną, inne wszelako w jarzmie Yamy przebywają jeszcze.

A Yamy dotknięcie w wszystką duszę jad szczepi. Zło żyje i życie dla siebie zabiera.

Dwa Duchy z jednej wywodzące się chwili obce są Yamie; obce są niemniej dwa Duchy, które zesły się w chwili jednej na jednej drodze Ojców, albo bardziej jeszcze na jednej Bogów drodze.

Sięga wszelako Yamy potężna ręka po wszelką duszę, która idzie sama, sięga niemniej po dusze dwie, które pozorem wspólnie żyją, w różnej chwili i po różnej drodze Mokshę zdobywają.

Moc wielka jedna wyzwolić zdolna duszę samą; moc większa jeszcze ku wyzwoleniu dusz obu, nie zespolonych w jedną, niezbędną jest według wyroku.

Nie uświadamiał sobie przyjaciel Yamy mocy, a beśsiły duszy samej, albo obu dusz niezłąnych w jedną, choć naukę taką z ust przyjaciela, z ust człowieka po wielokroć był słyszał.

... — I ponoć lepiej będzie (mawiał był człowiek przyjacielowi), iż pójdzie dusza twoja sama, niżby z cudzą szła, nie spoiwszy się z nią w jedno.

Nauka ta po wierzchu szła przyjaciela, nie dotknąwszy duszy jego. Słyszał wszakże brzmienie jej,

¹⁾ Droga bogów.

²⁾ Zbawienie.

dla tego nie zaznawał spokoju, ażeby ją poznać. Szukał treści nauki w sobie, a im głębiej zanurzał się w duszy swojej, tem bardziej milczał i duszy swej nie dzielił.

Bywało nawet, że przyjacielowi tu wzbronil do duszy przystępu, bywało coraz częściej, że duszy poświęconej, duszę swą zamykał.

Człowiek znał ten duszy stan i czekał. Kobieta zasiać nie odgadnęła duszy męża, przeto w zmianie tej pierzchnienie odczuwała.

Takoz więc stało się, iż smutkiem wielkim młotowała męża i odtąd w żalu i pełna ofiary oddawała się jego miłości.

Smęt i nieodpowiedzeń pełna cisza zapanowała w domu i w sercach obojga, a duch człowieka nad smętem tym unosił się czy to w obecność swą, czy, kiedy byli sami. I nawet dziecka szczebiot ścichał od niejakięgo dnia, albowiem nieświadoma dziecięcia dusza czula jest na tajemne znaki Nieba.

W nieobecność człowieka, kiedy przyjaciel długie spędzał chwile samotności, wzrok utkwivszy w ośrodku siatki pajęczej, która gdzieś zawisła na gzymsie pod okna, a daremnie wypatrzeć chciał pajaka zapodżianęgo gdzieś — cicho weszła żona do pokoju, a bezzesełstnie doń podszedłszy na skroni dłoń miękko położyła i wpatrzyła się jasnem okiem w pajęcżą siatkę drzące kregi.

— Niema go, szepnęła.

— Niema go, powtórzył mąż cicho.

... Mijały długie, nieme chwile. Uliczny gwar przycichał zwolna, lekki mrok nad miastem rozpostarł się. Chwila zapalających się światel... Gwiazda zjawia się na niebie; w głębi czarnej wody gwiazda gdzieś zginiona pod mostem... Światło uliczne; drugie, dziesiąte. Na niebie gwiazda już setna. Wieczór fioletowy, wieczór tysiącem migotliwy światel na niebie, w głębokościach wody, na ziemi...

Najbliższa latarnia wpłata światła swęgo mętne promienie w drzące pajęcżą siatkę włókna i pomnaża drżenie w tęsknocie za zginionym gdzieś pajakiem.

W otoczeniu mrocznem pokoju widnieje oświełtany krag pajęczy, a oczy człeczce szukają w tęczy onej zakłącia dusz zginionych.

Przetarła niewiasta zmęczone oczy i opodal siadła.

— Mów do mnie, wyszeptaly cicho jej wargi.

Milczał — wpatrzony w ośrodek misternej siatki pajęczej.

Szept niewiasty błakał się gdzieś po ścianach, długą odbył wędrówkę, nim dotarł do uszu nieprzytomnego męża.

— Mów, szczęście moje — rzekł bezdźwięcznie, nie odrywając oczu od upatrzonego ośrodku siatki pajęczej.

Mówila cicho niewiasta:

— Nie patrz w ten krag zwodniczy... spojrz na mnie, pomówić z tobą chcę...

Spojrzał:

— Pomówić? — słucham cię.

Nieśmiało zagadnęła:

— Czy przyjdzie on, przyjaciel twój? Stracone chwile, zginione! Żali więcę chwil moich zabierze mi?

Nie, niel co mówię? wybac, niech służą ci wszystkie, wszystkie moje chwile; weź wszystkie, weź!

— Zawieszisz chwil niewiele poświęconych duszy — dziwi się mąż.

— Duszy? Toż i ja duszę mam, nle żyliśmy dotąd clalami tylko, ale wspólną żyliśmy duszą. Cemuż człowiek ten rozdziela nas?

— Czy pewna jesteś, iżesmy jedną żyli duszą?

— Wierzyłam i — wierzę.

— Nie złudaż to, mój aniele?

— Złuda, mówisz?... Złuda?...

Przerażone, ciche oczy jej błakały się po świecącym blade w mroku zadumanem czole męża.

Szeptala:

— Złuda? Złuda?

— Złudaż było całe wspólne nasze życie?

Wyciągnął dobre ręce swe i na drżącej dłoni jej położył:

— Słuchaj! Słuchaj z spokojem, bez żalu, bez bólu, bez wyrzutu.

Stań na chwilę tam, gdzie ja stoję — tam w nieznanej mieszkańcowi ziemi ducha spokojności. Tam stań, a zrozumiesz mnie i winię nie będziesz ani siebie, ani mnie.

Ani siebie — mówię, ani mnie.

— To strasznel jęknęła cicho.

— Niechaj się dusza twoja nie trwoży. Spokojność, cząstka wieczności, świadectwem niechaj będzie stykania się dusz naszych. Czy chcesz posłuchać w ducha spokoju i pogodnie, czy chcesz, abym choć słaby myśli moich promień rzucił na wspólną naszą drogę. Chcesz li drogę naszą rozpoznać?

— Słucham.

— Nie wiem, na które znajdują się drodże i nie znam zdobyczy ducha mojęgo: obce mi jest świętości ziszczenie, obce wcielenia ziszczenie i niepoznany słuchaczów cel. Daleki jestem wzniesienia aż po niebios próg, aby przymnożyć atawania się Nieba.

Zło mi wszczepiono od dni niemowlęcych i pozabawiono Miłości, i jeno tresowane zwierzę uczyniono ze mnie, a tresurę modlitwą nazwano i wymyślono mnogo podstępnych wyrazów dla upiększenia niskich poczynañ, dla znylenia drogi Poznania, która w po-

przek idzie dostojęństwu uświęconej formy. Przeto wrogi jestem duszy własnej; wrogim zasię będąc — błędne mam sądy; błędne sądy dwojaką otwierają drogę, powiadam: Piekło lub Zwierzęctwo.

Niewiasta słowa ostatnie ledwie dosłyszeć zdołała. Każde męża słowo uderzało w wątlą jej pierś niby taran w pękające mury rozpadającego się miasta.

Potok straszliwy lunął na jej zmęczoną głowę z niewiadomej chmury, a grom bił po gromie w złęknione serce, które tam w piersi niby gołąb zraniony trzepotało bezwładnemi skrzydłami.

Oczy jej ujrzaly tysiąc obrazów naraz. Pozrywana wisiała siatka pajęczna, szarpana na wsze strony wichrem straszliwym, a w każdym oku zstrzępionej siatki inny ukazał się obraz, pełen załamania i skurczów, pełen skrzyżowań i straszliwych skrzywień. Przelatywały tysiącem błyskawic wszystkie doniedawna cicho drgające gwiazdy i wszystkie mętne światła uliczne i wszystkie światel odbicia. Miasto całe wirować poczęło, domy zdaly się skakać na wsze strony, zmylając ulic porządek.

Pośród ruchliwości zmieniających się błyskawic obrazów, głowa męża nieruchoma, kamienna widniała w pośrodku i tylko niekiedy zygzak ruchliwy przecinał kontur głowy, tylko niekiedy ten lub ów z domów skaczących przesunął złamane linie po przez krawędź twardo zarysowanej czoła płaszczyzny.

Spokój szedł z czoła jego, zimny, twardy spokój.

Niewiasta czekała straszliwego jakiegoś wyznania.

— Cóżże uczynił? usłyszała rozpaczne pytanie swej duszy, ale cały kunsztowny kodeks przyuczonej wiary nie dał jej na to odpowiedzi żadnej.

Podniosła się cicho i pod ścianę się wsunęła, aby dalej być od słów słyszanych.

Oburącz ściany się imala.

On zasię mówił dalej przytłumionym głosem:

— Nie wiem, powiadam, na której znajduję się drodze. Mnogosc ogniw zasłania mi wszelkie wiedzienie, brzęku ich rozmaitosc przygłusza wołanie z tamtej życia strony.

Jednym wstrząsem gdy targnę łańcuch, jednym pełnej duszy wstrząsem, tedy zadzwonią wszystkie ogniwa.

Usłyszę cały akord. Całej, pełnej duszy wstrząs.

— Miłość moja i dziecka miłość jest ci pełnym wstrząsem, wyszeptala z wysiłkiem niewiasta.

— Jednem z życia ogniw, odparł w zadumie, może jednym ogniw spłotem.

Ogniw słyszę brzęki, nie akordu jeden dźwięk.

Przeto jednym wstrząsem targnąć łańcuch, jednym pełnej duszy wstrząsem...

Wspólnie iść nie możemy — ty i ja...

Ona szeroko rozwarla oczy.

— Zło ciąży na mnie — mówił dalej rozgąrkowany, — przez dusz naszych skojarzenie, że nijak wyzwolić mi się z życia tego póki z tobą idę. Zło spłodziłem z tobą — to nasze przekleństwo! To moje przekleństwo! Pisano mi nastawać na Zło, które z nas wyszło, aż zczeźnie. Pisano mi Złem własnem poić się a wszystek szpik z niego wysssać ku zadowoleniu żądzy a ku zniszczeniu mego płodu, iżbym nie rozradzał się w pokoleniu. Z tobą zasię przeznaczenia wypełnić nie mogę; przeto sam pójde.

Opuszczam cię. Sam pójde. Bóg przeciał drogi naszej wspólność.

Wyszła droga nasza z narzuconego Zła; z grzechu wyszła, z uświęconego grzechu. Droga nasza przez grzech wiedzie, w grzechu każe trwać i płodzić grzech, zabijać duszę, zabijać, zabijać...

Przypadła niewiasta do kolan męża:

— Na Boga! dziecię nasze!!

— Zabijać! zabijać! — szeptał nieprzytomny.

— Dziecię nasze!

— Zabijać! zabijać!...

Padła w niemocy i wyczerpaniu.

... Dwie kojące dłonie ukazały się nad stłumioną rozpaczą dusz obojga.

Stanął nad nimi człowiek.

Człowiek — przyjaciel nawiedził przyjaciela.

— Pokój wam, rzekł głosem z innego świata. Pokój tobie, pani, iżeś miłością wielką otoczyła cały świat twój, iżeś miłości technienie w przyszłe posłała ludzi pokolenie.

I tobie pokój, przyjacielu, daleki pokój niechaj się przybliży, iżbyś spokojnością nie żył kłamaną.

Poniechaj duszy mściwość na niewieście. Wstrząsem wielkim twoja dusza niechaj się odrodzi, pokój zasię daj duszy jej.

Szedłeś za mną i nie podążyłeś. Tworu z ducha nie było.

Czytałem ci twór z ducha mego, aby twojego zapłodnił.

Daremno czytałem. Na to oto życie twoje — daremno. Znajdziesz tworu treść w życiu innem.

Puste jest życie, gdy nie tworzy. Zemstą nie wypełnisz życia pustki.

Pozostań, mówię, z niewlastą swoją i z dziećmiem pozostań dla ich dusz wypełnienia.

Pozostać nie chcesz! Pozostać, mówisz, nie możesz. Snać wyrok nad tobą pisano.

Nie mogąc życia tworem Ducha wypełnić a wrogi będąc niewieście, wrogi nasieniu swemu, albo wrogi ludziom, albo stworzeniu innemu wrogi — błędne masz sądy; błędne zasię sądy dwojaką otwierają ci drogę: Piekło lub Zwierzęctwo.

Zmylony posiadałeś cel askezy, dla którego opuszczasz dom swój, aby bezdomnych dzielić los...

Mówię, zaprawdę mówię, przyjacielu: zamknięta ci jest Devayāna. Mówię, za prawdę mówię-ć, przyjacielu: zamknięta ci jest i Pitriyāna. Trzecie z Miejsc pisane ci jest na to życie, trzecie z Miejsc, mówię.

Drogi nasze się rozchodzą, przyjacielu.

(C. D. N.)



August Zamojski — Łeo.

Z NIEMIECKICH LIRYKÓW WSPÓŁCZESNYCH

NOC WŚRÓD GRANATÓW

HERMANN PLAGGE

Przez noc całą zwierzęta wielkie pod nami ryją ku światłu,
ciemności rozszarpują się z strasliwym hukiem.
Wybuchem każdym nora moja kolebie się, jak tratwa na rzece, gdy o brzeg uderzy.
Oczy wkoło mnie czyhają w lęku i czają się jak biczowane psy.
O, nie umierać!

Nad ranem wychodzę w rozoraną brudę rowu.
Szron marznie na karabinów kolbach opuszczonych.
Obco na ziemi roztopia się trup we krwi.
Ptaszek ćwierka mężnie na krawędzi rowu.
Zataczam się jak po nocy przebulanej — —
i błędny głupi wyraz jakiś mrucząc, rozszarpaną, świeżą dłoń
wysoko wynoszę ku zorzy, jak rękawiczkę zdobytą na balu.

Z „PIEŚNI“

GOTFRYD BENN.

Obyśmy byli własnymi dziadami;
Garstką błota w ciepłym trzęsawisku.
Życie i śmierć, płodność i rodzenie
Z naszych niemych płynęłyby soków.
Liściem na wodzie albo piasku wydumą,
Czemś, co wiatr ukształtował i co na dół ciąży.
Bo główka ważki albo skrzydło mewy
Już za szerokie i za wiele cierpią.

Z „Aktion“ spolszczył OLWID.

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI

EKSPRESJONIZM — SŁOWACKI I „GENEZIS Z DUCHA”

VIII. EXPRESJONIZM W NAUCE — NEO VITALIZM — NEO LAMARCKIZM — PSYCHO-VITALIZM.

Pięćdziesiąt lat prawie panował niepodzielnie Darwinizm w nauce — to znaczy Darwinizm w ścisłym znaczeniu, czyli selekcjonizm, uznający za główny czynnik rozwojowy dobór jednostek przypadkowo najlepiej od natury wyposażonych, przypadkowo najlepiej w walce o byt przystosowanych do całokształtu warunków otaczającego je, żyjącego i martwego świata.

Pięćdziesiąt lat posługiwała się nauka zdumiewającym terminem, najważniejszym, jaki od początku myślenia ludzkiego istniał — przypadkiem i nie zdawała sobie sprawy, na jakim absurdzie cała teoria oparta. — Nie chciała sobie zdawać sprawy, bo ludzkość nienawidzi dróg duszy, zawsze starała się wydobyć z pod jej panowania i ciężkich obowiązków, jakie praca Ducha na ludzkość nakłada.

Aż wreszcie nadszedł czas, że dusza się ocknęła, że tak zwany świat naukowy zrozumiał, iż w swoich badaniach bez tej drobnostki, jaką dusza Darwinizmowi się przedstawiała, bez awanturniczych i chimerycznych psychicznych czynników nauka być się nie może i bez nich w okół swego ogona w błędnej kołowaciznie się kręci i wtedy przypominano sobie, że na pięćdziesiąt lat — okrągłe 50 lat przed ukazaniem się Darwinowskiego „O powstawaniu gatunków drogą doboru naturalnego” 24 listopada 1859 roku, ukazało się przez Darwina samego całkiem nieuznawane, nawet skrycie zwalczone wiekopomne dzieło jednego z najpotężniejszych geniuszy, jakie ludzkość wydała: „Philosophie Zoologique” Jana Baptysty Lamarcka¹⁾ w Paryżu roku 1809, w roku przyjścia na świat Słowackiego.

I nad tą nauką, znaną zapewne Słowackiemu, a która powrotną falą, ale teraz już nieskończenie wyolbrzymioną wdiera się zwyczajko w wyjałowione przez darwinistyczny materializm mechanicznego przypadku obszary nauki, głębiej zastanowić nam się trzeba.

Cała nauka Lamarcka oparta na dwóch zasadach:
Pierwsza:

„Dans tout animal qui n'a point dépassé le terme „de” ses développements, l'emploi plus fréquent et

„plus soutenu d'un organe quelconque, fortifié peu „à peu cet organe, le développe, l'aggrandit et lui „donne une puissance proportionnelle à la durée de „cet emploi, tandis que le défaut constant d'usage „de tel organe l'affaiblit insensiblement, le détériore, „diminue progressivement et finit par le faire „disparaître.”

Tę pierwszą zasadę wyraża Neolamarckizm w formule:

„Funkcja tworzy organ” — w przeciwieństwie do systemu Darwina, który uczy, że organ wytwarza funkcję.

Dруга zasada, na której oparty system Lamarcka brzmi:

„Tout ce que la nature a fait acquérir ou perdre aux individus par l'influence des circonstances, „où leur race se trouve depuis longtemps exposée „et, par conséquent, par l'influence de l'emploi prédominant de tel organe, ou par celle d'un défaut „constant d'usage de telle partie, elle (sc. „la nature”) „par la génération aux nouveaux individus qui en „proviennent, pourvu que les changements acquis „soient communs aux deux sexes ou à ceux qui ont „produit les nouveaux individus.”

Otóż teoria dziedziczności nabytych cech.

Z trudem przychodzi oprzeć się pokusie, by nie wymienić całego szeregu zdań Lamarcka, o działaniu funkcji psychicznej na organizm, a więc, że Duch tworzy cielesną formę, jeden tylko jeszcze ustęp przytoczę, w którym Lamarck podaje psychiczną potrzebę, jako przyczynę, która przez spotęgowanie uczucia wewnętrznego skierowuje wszystkie odżywcze soki i siły nerwowe w te strony organizmu, w których czynność ich odczuta potrzebą zadowolnić może:

A więc mówi o wyższych zwierzętach:

„Ils ressentent des besoins et chaque besoin senti, émouvant leur sentiment intérieur („czucie zewnętrzne”, uświadomione i działające wprost jako wola), fait aussitôt diriger les fluides et les forces vers le point du corps où une action peut satisfaire un besoin éprouvé. Or, s'il existe en ce point un organe propre à cette action, il est bientôt excité à agir; et si l'organe n'existe pas, et que le besoin ressenti soit pressant et soutenu, ceux à peu l'organe se produit, et se développe à raison de la continuité et de l'énergie de son emploi”).“

W teorii Lamarcka widzimy zatem przystosowanie się zwierzęcia do otoczenia za pomocą bezpośredniego wysiłku duchowego (sentiment intérieur). I ta interpretacja zdobywania sobie użytecznych cech

¹⁾ Jean-Baptiste-Pierre-Antoine de Monet, chevalier de Lamarck urodził się 1-go sierpnia 1744, umarł 18-go grudnia 1829 r.

²⁾ Histoire naturelle des animaux sans vertèbres. Introduction p. 186. Paris 1809.

przez psychiczne, wewnętrzne czynniki była dla tłumy, który zawsze duszy nienawidził i gdzie tylko mógł z pod jej praw się wyłamywał, nawet jej istnieniu zaprzeczał, niewygodną — odrzucił ją bezwzględnie jako metafizyczne brednie, teoria Lamarcka poszła przez blisko sto lat w zapomnienie, a ludzkość odetchnęła wreszcie swobodnie, gdy Darwin obdarzył ją bezcennym darem swej teorii, która dusza nie potrzebuje, która odrzuca wszelki celowy, a więc psychiczny współdziałal organizmu, by wytłumaczyć progresę gatunków — przypadek tworzy organ — organ zaś — funkcję: teoria doprowadzona przez materializm do śmiesznego absurdu, że materia tworzy myśl: „Ohne Phosphor kein Gedanke!“

I Darwin, gdy już dokonał tego cudu, że cały byt wytłumaczył bez tego niepotrzebnego, mistycznego czynnika, jakim jest dusza, rozjaśnił najgłębszą zagadkę, nad której rozwiązaniem ludzkość przez tyle lat tysięcy się w krwawym trudzie mozoliła: powstanie życia w ogóle. Zagadkę tę rozwiązuje generatio aequivoca, czyli spontanea, powstanie żyjących istot z martwej materii. Tego rodzaju samorództwo nie przedstawia dla darwinistycznego, mechanistycznego światopoglądu najmniejszych trudności. Dla niego organizm nie jest czemś zasadniczo odrębnym od martwej materii, jest on tak samo fizyczno-chemicznym tworem, jak tamta, i li tylko fizyczno-chemiczne siły odgrywają rolę w wszystkich czynnościach, jakie się w organizmie dokonywują.

Nauka Lamarcka nie mogła się przyjąć — ludzkość nienawidzi duszy — a Lamarck uczył o bezpośrednim przystosowywaniu się. A jest ona „mistyczna“, bo żąda jak najsilniejszego współdziału sił duchowych.

Jeżeli jakieś żyjące zwierzę dostanie się w inne warunki, i na nowe działania sił ze zewnątrz jest wystawione, to jest zupełnie jasne, że przez nie ulega pewnym zmianom. To Darwinista bez wszystkiego rozumie — zdumiewa go tylko fakt, że przez zewnętrzne czynniki wywołane odmiany, są zarazem przystosowaniami, to znaczy, że te odmiany odbywają się w kierunku celowym, że jak najzupełniej odpowiadają nowym warunkom, w jakie się zwierzę dostało.

Jeżeli więc jakiś gatunek ptaków, który rozpoczyna życie w wodzie, się zmienia, to jasne, zdumiewające tylko, że u nóg ptasich powstają w tych nowych warunkach pletwy, bez których ptak w wodzie nie dałby sobie rady.

Lamarck tłumaczy ten cud przez współdziałanie duszy na równi z zewnętrznymi czynnikami, a więc bezpośrednim przystosowaniem się, w Darwi-

nizmie nie ma miejsca dla duszy, więc Darwinizm odpowiada na ten zdumiewający, mistyczny fakt, że to tylko przypadek zrzucił. W naturze niema celowości — tylko przypadkowo powstają na miliard odmian jedna jedyna, która umożliwia dostosowanie się zwierzęcia do zmienionych warunków, odmiana ta, która się przypadkowo w jakimś indywiduum odbędzie, umożliwia mu przetrwanie w walce o byt, przetrada się na nowe pokolenia i utrwała się w naszym przykładzie jako pletwa. Dostosowanie zatem jest tu bezpośrednie.

Osią zatem zacieklej walki, jaka się od dwudziestu przeszło lat pomiędzy Darwinizmem materialistyczno-mechanistycznym impresjonizmem w nauce, a Neo-Lamarckizmem, Psychovitalizmem (jednym słowem ekspresjonizmem w nauce) toczy, jest zatem to jedno pytanie:

Czy dostosowanie się jest bezpośrednim (to znaczy czy funkcja tworzy organ, a jaśniej jeszcze: czy dusza, tworzy kształty — Lamarck), czy też naodwrot: czy dostosowanie jest pośrednim, to znaczy, czy organ tworzy funkcję, to znaczy, czy kształt powstaje bez współdziału duszy — przypadkowo. (Darwin).

Może już przyszła generacja nie będzie w stanie pojąć, że cała współczesna nauka od nieszczonego roku 1859 mogła się posługiwać takim pojęciem jak przypadek — coś w rodzaju słynnego swego czasu lekarstwa na wszelkie choroby: Pein Expeller — faktem jest jednakowoż, że dopiero od wystąpienia profesora zoologii w Monachium Dr. Augusta Pauly¹⁾ twórcy Neulamarckizmu, w roku 1905 rozpoczyna się przełomowy okres w teorii ewolucji, a raczej jej powrotna fala — o tyle przełomowy, że w istocie wytworzył ostateczny rozłam w świecie naukowym pomiędzy mechanizmem, a vitalizmem, (impresjonizmem, a ekspresjonizmem w nauce) a na którą szalę zwycięstwo się chyli, dziś już wątpliwości nie ulega.

Już przed Paulem pojawiły się poważne ataki na mechanizm Darwina — nie mogą oczywiście pisać historii ekspresjonizmu w nauce, musiałbym jej setki stron poświęcić, ograniczę się zatem tylko na najważniejszych teoriach, na jakich ekspresjonizm naukowy się opiera i to głównie tych, które uwypuklają naukę „Genезis“ i wyznaczają jej to zaszczytne miejsce w historii ewolucji, jakie jej się przynależy.

Pomijam zatem wywody Bunga w słynnej jego rozprawie „Vitalizm i mechanizm“, nie mam miejsca na omówienie niezmiernie cennej rozprawy profesora

¹⁾ Dr. August Pauly, Profesor der angewandten Zoologie an der Universität München: *Darvinismus und Lamarckismus* München 1905.

Rindfleischa, przystępując od razu do twórcy Neo-Lamarckizmu, Augusta Pauly, i to od wystąpienia tego genialnego uczonego rozpoczyna się ta zdeterminowana walka między Darwinizmem a Lamarckizmem, która z coraz większą zaciętością wre po dziś dzień, a na którą szale zwycięstwo się przechyli, dziś już prawie wątpić nie można, bo coraz większe zastępy uczonych zaciągają się w szeregi ekspresjonistów.

W obozie ekspresjonistów wylaniają się głównie trzy kierunki:

1) teleologiczny vitalizm, zwany również Neo-Lamarckizmem, Psycho-Lamarckizmem, twórcą jego jest właśnie profesor August Pauly, stronnikiem jego profesorowie G. Wolff, Cossmann, i słynny botanik Francé.

2) Neo-Vitalizm, znany również pod nazwą Entelechizmu: Driesch, Reinke, E. v. Hartmann.

3) potentialny Vitalizm prof. Karl Camillo Schneider w Wiedniu.

Granic ścisłych między tymi trzema kierunkami nie ma, są pewne rozbieżności, ale zasada ta sama: funkcja tworzy organ, panowanie psychicznego pierwiastku nad materialnym. Zresztą szeregi darwinistów ścisłej obserwacji coraz więcej się przerzedzają, bo już mało tych uczonych, którychby można nazwać konsekwentnymi mechanistami.

1. NEO LAMARCKIZM, CZYLI PAULYNIZM.

Paulynizm opiera się na dwóch głównych zasadach prof. fizjologii Pflügera, który jedyny nie zapomniał w czasie najwięcej wyuzdanych orgii, jakie materializm między 70-tym a 80-tym rokiem ubiegłego stulecia święcił, o biednym Kopciuszku, wygnanym z raju materializmu — o marznącej, przy płocie kulejacej się Psyche-Duszy.

Te dwie zasady Pflügera brzmią:

„Przyczyna każdej potrzeby jakiegokolwiek żyjącego stworzenia jest zarazem przyczyną zadowolenia tej potrzeby“.

A następnie:

„Jeżeli potrzeba dotyczy się tylko jednego specjalnego organu, to organ ten wywołuje sam-zaspokojenie. Jeżeli potrzeba dotyczy zarazem całą ilość organów — to wtedy bardzo często sprawcą zadowolenia wszystkich jest tylko jeden“.

Aby użyć jakiegoś przykładu:

Jeżeli używa się suchych potraw to strawienie jest tylko możliwe przez wywołanie obfitych w wodę wydzielin.

W tym wypadku zachodzi więc potrzeba wody, a zadowolenie tej potrzeby to wydzielanie obfitych w wodę sekretów.

Przyczyną potrzeby wody, a więc wprowadzenie suchych potraw, jest równocześnie przyczyną zadowolenia tej potrzeby.

Aby drugą regułę objaśnić, możemy użyć zaspokojenie głodu i pragnienia: jeżeli tkanki całego organizmu odczuwają głód i pragnienie, to sprawcą zaspokojenia tej potrzeby całego organizmu jest jeden tylko nerw.

Pflüger jednakowoż nie próbował wyjaśnić bliżej stósunków, które w swoich regułach przedstawiał, zadowolił się tylko skonstatowaniem zasad, Pauly dopiero wyciągnął z nich ostateczne konsekwencje.

„Teoria celowo „osądzonego dostosowania“ (Theorie der beurteilten Anpassung) pragnie wyjaśnić powstanie organicznych stósowności do celu (Zweckmässigkeit) tem, że przyjmuje jak najściślej przeprowadzoną analogię między tworzeniem znanych nam stósowności do celu, stworzony tu umysłem ludzkim i ręką ludzką a powstaniem nieznanym nam stósowności do celu w świecie zwierzęcym. Tak samo, jak parci potrzebą tworzymy nasze maszyny i rękodzielnictwa, czyni to organizm i to z pomocą psychicznego procesu, który całkiem jest podobien temu, który się w naszej duszy odgrywa, tylko daleko mniej jest skomplikowany. Ponieważ nawet u najniższych zwierząt i roślin odnajdujemy zdolność przystosowania się w najrozmaitszych położeniach życiowych i to wywoływania oddziaływań (Reaktion), które sprawdzają zadowolenie potrzeb, wywołanych przez pewną podniecie (Reiz), możemy bez wszystkiego przyjąć u tych zwierząt, ba! nawet u zwykłych komórek zdolności, które tylko stopniowo (graduell) od naszych się różnią: Poczucie potrzeby, pragnienie zaspokojenia tej potrzeby, i zdolność osądzania skuteczności środków.

A więc powstanie stósowności do celu (Zweckmässigkeitserzeugung) w organizmach powstaje w aktywnej syntezie, asocjacji dwóch doświadczeń, doświadczenia potrzeby i doświadczenia środka, który tę potrzebę zaspakaja — a syntezę tę zamyka sąd (Urteil), to znaczy osądzenie działania środka, czy jest dostatecznie sposobnem, by daną potrzebę mógł zaspokoić.

Dynamikę stósowności do celu opisuje Pauly w następujący sposób: Z miejsca, w którym się poczęło, rozpyływa się uczucie wyraźnej potrzeby z pomocą dróg przewodzących (Leitungsbahnen) na wszystkie strony. Energia, która się przytem rozwija, ma psychiczną zawartość uczucia tej wyraźnej potrzeby i z konieczności ma również na wszystkich etapach swej drogi poczucie identyczności podmiotu (Subjektsgefühl). A więc rozkrzewia się na

całej drodze identyczność podmiotu, znajdującego się w pewnym napięciu pragnienia.

Ponieważ w okręgu całego organizmu rozchodzą się tylko o jeden podmiot, natrafia więc uczucie podmiotu we wszystkich miejscach okręgu wewnętrznych doświadczeń, do których dociera i je podrażnia, na doświadczenia, które są oczywiście ściśle związane z tem samem uczuciem podmiotu, bo przecież wszystkie przez ten sam subjekt poczynione zostały. Gdziekolwiek więc prąd pierwotnej potrzeby, teraz już rozkrzewiony na setki i tysiące, dotrze do miejsc pozynionych już doświadczeń pozostaje bezskuteczny w tych miejscach, w których tkwią doświadczenia nie odpowiadające danej potrzebie, i są one dla niej bez znaczenia — w tych miejscach atoli, w których spragnione napięcie potrzeby natrafi na doświadczenia, któreby mogły dać środki zadowolenia potrzeby, zmienia się stan subjektu przy tem zetknięciu uczucia potrzeby z spostrzeżeniem środków zaspokojenia, bo tu dostrzega wartość środka zaspokojenia, obojętne, czy przy tem zetknięciu potrzeba już zostaje zaspokojoną, czy też dopiero osiąga poznanie środka. Z tym procesem łączy się sąd o podatności środka, a w danym razie użycie takowego. Ten najelementarniejszy proces psychiczny zamyka w sobie: uczucie potrzeby, wyobrażenie (uświadomienie) sobie potrzeby, pragnienie zaspokojenia tej potrzeby, a więc pierwiastek woli, a w końcu rozpoznanie w syntezie, a zatem intelekt! Wszystkie te psychiczne funkcje trzeba przypisać bezwzględnie najprymitywniejszym komórkom, bo na celowości w zjawiskach natury nie ma innego wyjaśnienia nad teleologiczne, którego najwyższą zasadą: Stosowne do celu, może zostać stworzone jedynie tylko przez rozsądzający pierwiastek, to znaczy intelekt.

Przypisywanie psychicznych właściwości każdej komórce z tych wszystkich miliardów, z jakich się organizm tworzy, nie przedstawia żadnych trudności, bo poszczególne dusze komórek nie są przeznaczone do sprawiania tych najwyższych funkcji, do jakich mózg jest wyspecjalizowany, każda komórka jest tak ukształcona, że tylko niektóre podrażnienia przyjąć może, a jej „mały intelekt” potrzebuje zatem opanować tylko niewielki zasób użycia środków.

Ta teoria Paulego nie rozciąga się bynajmniej do samoregulacji potrzeb i zaspokojen tychże, wystarczy według jego mniemania jak najzupełniej, by objaśnić powstawanie nowych organów. Nic innego nad wyobrażenia, ukształtowane zmysłowym spostrzeżeniem, nie może być przyczyną utworzenia się nowego organu. Z odkrycia i użyciu jakiegoś do celu sposobnego środka kroczył organizm do dalszego,

przyczem odkryty już środek stawał się szczeblem do następnego i tak w nieskończoność, aż wreszcie osiągnął to, co mu się najdoskonalszem być wydało.

Jak najusilniejszą uwagę zwracam na tę ekspresjonistyczną teorię w nauce, która nam odda niezmierną przysługę w zrozumieniu teorii ewolucyjnej Słowackiego — i chwilę jeszcze się w tem miejscu zatrzymam.

Idę szlakiem jednego z najwybitniejszych biologów współczesnych Eryka Bechera.^{*)}

W jaki sposób powstaje najpierwotniejsza celowa czynność u dziecka?

Odpowiedź: według zasady próbowania i zatrzymania w pamięci rezultatów tych prób.

Dziecko leży w kołysce, coś je ugniata. Podrażnienie wywołuje ból. Dziecko płacze, wierzga nóżkami, kręci się na wszystkie strony, wreszcie wydobywa się poza obręb tego miejsca, które mu ból sprawiało. Jeżeli to częściej się zdarza, dziecko, nauczone doświadczeniem, nie będzie niepotrzebnie krzyczało, tylko prostą zmianą pozycji uwolni się od bólu — to znaczy, jego zachowanie stanie się odpowiedniem do celu.

Wypróbowało wszystkie możliwe środki (oczywiście nieświadomie), aż wreszcie znalazło środek stosowny do celu, zachowało go w pamięci, tak, że w danym wypadku już bez wszystkiego powtórzy celowy ruch. W ten sposób powstają stosowne do celu czynności, przyczem oczywiście odgrywa wielką rolę naśladownictwo, nauka wychowawcza, bo ułatwia tę pracę próbowania i daje od razu wyniki tychże.

Próbowanie odgrywa również i w świecie zwierzęcym olbrzymią rolę. U najniższych żyjątek zauważono tę samą procedurę, nawet u infuorji.

Jeżeli się sypie proszek na ten drobnoustrój i drażni się je wskutek tego, to robi ono cały szereg bezcelowych poruszeń, aż wreszcie udaje mu się wydobyc poza obręb sypanego się proszku — na drugi raz, nie robi już tych bezcelowych ruchów, tylko od razu robi celowy ruch ucieczki. To znaczy, że to infuorium jest obdarzone pamięcią.

Jeżeli więc jednokomórkowe drobnoustroje w ten sposób celowo reagują, to chyba nie ma powodu wątpić, że każda komórka w najwięcej skomplikowanym zrzeszeniu tą samą władzą pamięci jest obdarzona.

Tak więc gruczoł wydzielający ślinę pewno długo próbował, zaczęł znalazł najodpowiedniejszy środek do wyrzucenia wydzieliny, a z słynnych doświadczeń Pawłowa odbiera się całkiem pewne wrażenie,

^{*)} Gesamtbild der Natur.

ze trzustka (Bauchspeicheldrüse) zwolna i z wielkim zasobem rozważy uczy się przystosowywać soki trawiające, którym każe płynąć w przewodzie jelitowym, do poszczególnych rodzajów pożywienia.

Poglądy tego rodzaju wydają się nam być absurdem — jak każda nowa prawda — trzeba raz wreszcie pozbyć się fatalnego przesądu, jakoby tylko nerwowe komórki kory mózgowej były obdarzone cechami psychicznymi — nonsens!

Kora mózgowa służy tylko do udoskonalenia najwięcej skomplikowanych czynności duchowych wszystkich komórek — a nawet nie jest bezwzględnie konieczna do utrwalenia jakiejś czynności w pamięci, jak poucza zachowanie się bezmózgowych żyjątek.

Nie myślę tylko mózgiem — myślę całym moim organizmem, każda komórka we mnie myśli — mózg jest rządem komórek, najwyższą ich instancją, mózg jest prawdopodobnie niczem więcej, jak tylko centralną stacją, siedliskiem poczucia identyczności ogółu „ja”, którem to „ja” każda komórka jest obdarzona.

Ale wracajmy do pierwotnej czynności psychicznej komórki — najwięcej odpowiednia celowi reakcja na wpływ zewnętrzny, doskonalili się przy powtarzaniu — pamięć utrwała najdonioślejsze udoskonalenie uczucia najodpowiedniejszego środka, a jeśli przyjemniemu zasadniczą naukę Lamarcka o dziedzictwie w indywidualnym życiu nabytych cech, to bez wszystkiego nastrocza się myśl, że wszystkie wrodzone reakcje, które nazywamy odruchem, czy też instynktem, tak samo zostały zdobyte przez doświadczenie, wypróbowanie, a tak silnie zaryły się w pamięci, że już drogą dziedzictwa bez wszystkiego potomności przekazane zostały — tak że potomstwo potrzebuje odziedziczone już cechy w dalszym ciągu wydoskonalać.

Przechowywanie znamiennych odmian odbywa się według Darwina przez działalność, według ekspresjonistycznej nauki przez „Pamięć” żyjącej substancji, a dopiero w następstwie przez dziedziczość. Ta różnica odpada, jeżeli przyjmiemy naukę o m n e m i e, która uważa dziedziczość za zjawisko pamięciowe.

Organizm nauczył się przez próbowanie nowej i najodpowiedniejszej reakcji i przechowuje ją w pamięci — jeżeli ta reakcja zostaje dziedzictwem dalszemu pokoleniu przekazane, to mamy w tym wypadku jak najoczywistsze do czynienia z p r z e c h o w a n i e m doświadczenia poza granice indywiduum.

Dzieci są niczem więcej jak częściami, które się od rodzicielskiego organizmu oderwały i wyrosły w samoistne i równogatunkowe organizmy. Muszą zatem z pamięciowego bogactwa rodziców przejąć to wszystko, co najsilniej w tej pamięci się utrwaliło.

Jeżeli więc z zarodkowej komórki, a więc z jajka wytwarza się cały organizm, który powtarza kształty rodzicielskie, to można fakt ten tylko tem objaśnić, że jajko, jako część rodzicielskiego organizmu przechowuje w pamięci jego rozwój i kształty. Ten o b r a z p a m i ę c i o w y celu rozwojowego, kształtu, jaki przodkowie zawsze od nowa przybierali, służy jajku za pierwowzór, który urzeczywistnić pragnie na tej drodze, jaką mu pamięć przekazała jako drogę, na której przodkowie jego się rozwijali.

Tę naukę wykształcił i rozwinął przedewszystkiem głęboką intuicją obdarzony przyrodnik Semon.¹⁾

Prawdziwy i istotny cud w rozmnażaniu się tkwi w dziedziczości, a mianowicie w tem, że w minimalnej cząsteczce rodzicielskiego ustroju, powtarza się tenże i na nowo powstaje w wszystkich jego najistotniejszych urządzeniach. Tajemniczą zdolność rozplądania się, która tak zasadniczo rozróżnia człowieka od najdoskonalszej maszyny, sprowadza nauka o „mnemie” do rozplądania się p a m i ę c i, a więc do psychicznej funkcji, która się w odnowieniu dawniejszych przeżyć w naszej pamięci objawia.

Tak więc możemy uważać za niewzruszalną pewność, że najcudowniejsze i najwięcej znamienne cechy żyjących istot, a więc stosowność do celu, rozplądanie się i dziedziczość tkwią wszystkimi korzeniami w duchowości, onym najpotężniejszym wszechświatowym czynniku, na który bezustannie na wyższym szczeblu rozwoju natury, a przedewszystkiem w naszym własnym wewnętrznym przeżyciu napotykamy.

Wszystkie tajemnice organicznego życia dają się bez wszelkich ulamków sprowadzić do finalnego pierwiastka: u d u c h o w i e n i e.

Powrotna fala

Idea Platona jest według jego nauki rzeczywistą. — Arystoteles zaś uczy, że idea jest pojęciem, ale nie posiada rzeczywistości, urzeczywistnia się wyłącznie w świecie zjawisk. Ale oprócz pojęciowego momentu w bycie absolutnym — to znaczy w „idei” — tkwi moment d y n a m i c z n y — entelechia — przez który idea się urzeczywistnia, który tworzy formę jako konkretną rzeczywistość absolutnego bytu. Istotą rzeczy w świecie organicznym jest siła żywotna, czyli d u s z a. Entelechią ręki jest c h w y t a n i e — chwytnie ukształtowało celowo rękę — a więc funkcja wytwarza organ.

Tak więc współczesna nauka wraca do ojca wszelkiej nauki przyrodniczej — do Arystotelesa i jemu przynależy się cała jej przyszłość.

¹⁾ Semon: „Die Mneme”. Lipak 1905.

Ale ideą tą, stósoną dotychczas tylko do świata organicznego rozszerza ekspresjonizm równocześnie i na świat nieorganiczny, każe się jej upatrywać w najprostszych nawet reakcjach fizycznych i chemicznych.

Pod zasadą Lamarcka, że funkcja tworzy organ, podciąga się cały świat zjawisk. — Jedno tylko prawo pozwala nam wyjaśnić bezwzględnie wszystkie zjawiska w naturze, i jedna tylko teleologia jest możliwa, której wszystko, co istnieje, podlega. Nie ma martwej, nieorganicznej materji, wszystko, kamień, czy kryształ jest uduchowione, reakcje ich wewnętrzne są dla oka ludzkiego niedostrzegalne, ale i przecież w świecie nieorganicznym nie brak cennych poszlak tego Lamarckowskiego, „sentiment interieur“, a mamy je w fakcie regeneracji kryształów, a następnie w zdumiewającym fakcie istnienia płynnych kryształów.

Oczywiście, że nie mogą się kusić o przytaczanie wszystkich dowodów, jakie z olbrzymim trudem uczeni zebrali, by rozwalić ostatecznie granice, łączące wrzekomo świat organiczny od anorganicznego, dają tylko syntezę, jaką wyciągnął słynny badacz życia kryształów profesor A. Rauber.

Przypisuje on kryształom niejasną, najpierwotniejszą formę życia, ale życia quand même — to znaczy możność wewnętrznych, a więc psychicznych reakcji na działania ze zewnątrz, wskutek czego rozdział między żyjącą a tak zwaną martwą materją wydaje mu się być całkiem niesłuszny:

„Es giebt keine belebte und unbelebte Natur. Beide Teile können als belebt gelten; der eine Teil befindet sich nur auf einer höheren Stufe des Lebens, der andere auf einer niedrigen. Keines-

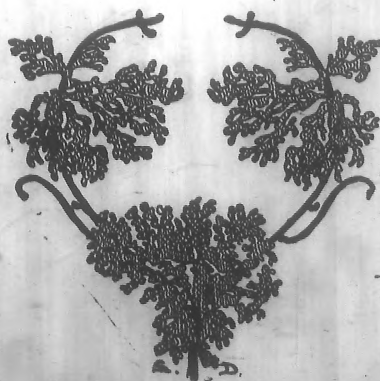
wegs sind jedoch die Leistungen der auf dieser Stufe stehenden Welt geringfügig zu nehmen. „Sie stellen vielmehr den Boden dar, auf dem die höhere Stufe erst sich zu erheben vermag.“)

To zasadnicze ujęcie problemu organiczno — nieorganicznego życia znajduje silne potwierdzenie w hipotezie badacza tej miary, jakim jest przecież ogólnie uznany W. Roux o powstaniu pierwotnego życia przez stopioniową hodowlę zasadniczych funkcji, a ostateczne potwierdzenie znalazło — tak się przynajmniej wydaje odkrycie „płynnych“-żyjących kryształów przez profesora z Karlsruhe O. Lehmann, jak najściślej badania Przibrama (1906), L. Rhumblera (1904), a przedewszystkiem Dietricha Barfurtha.¹⁾ Wszyscy ci badacze stwierdzili jednomyślnie, że regeneracja kryształów, zwłaszcza życie „płynnych“ („żyjących“, jak je O. Lehmann nazywa) kryształów z taką siłą narzuca analogję z życiowymi zjawiskami, że w żaden sposób kryształom „życia“ — a najgłębsze i jedyne pojęcie życia tkwi w „uduchowieniu“ (Beseelung) odmówić nie można.

1) A. Rauber: Die Regeneration der Krystalle. Eine morphologische Studie 2. Hefte. Dazu Atlas der Krystalregeneration 7. Hefte mit 144 photogr. Tafeln. Leipzig 1895-1901.

²⁾ Tylko głupia zła wola mogłaby mnie posądzać przy wymienianiu tych wszystkich nazwisk i dział o chęć się jakąś erudycją. Błogosławię naprawdę pięć lat studji przyrodniczych, które odbyłem pod kierownictwem takich uczonych, jak: W. Waldayer, O. Hartwig, Helmholtz, Virchow, Du-Bois-Reymond, na chwilę nie straciłem z oczu postępu i rozwoju nauki, a jeżeli te wszystkie dzieła przytaczam, to jedynie dla tego, by przyszłym badaczom „Genezis“ Słowackiego ułatwić drogę badań.

(C. D. N.)



O TKACZU, KTÓRY KOCHAŁ KRÓLEWNĘ

Onego czasu mieszkali w pewnym mieście tkacz i kołodziej, druhowie od urodzenia, którzy ogarnięci wzajemnem kochaniem, czas cały spędzali na wspólnych przechadzkach.

Dnia jednego w mieście onem w którejś ze świątń odbywała się uroczysta procesja a walęsający się przyjaciele nasi, śród rojowiska aktorów, skoczków, wędrownych rybaltów, zbiegłych ze wszystkich stron świata, dostrzegli jadącą na słońiu królową, uposażoną we wszystkie znamiona krasy, okoloną przez służebników i eunuchów a boskim owianą czarem. Na jej widok tkacz, ni to zmożony jadem, ni to opętany przez złośliwego demona, przesyty nagłym grotm miłości, zwał się na ziemię. Kołodziej, widząc go w takim stanie, przejęty bólem, z pomocą ludzi zaniósł go do siebie, ale z trudem i po długich dopiero zabiegach, wskazanych przez lekarzy i przez zaklinania, chory odzyskał przytomność. „Bracie, czemużeś nagle popadł w omdlenie — zagadnął go w onczas przyjaciel — mów mi, co się z tobą stało“. „Wysłuchaj — odparł tamten — tajemnicy mojej, w której ci całą boleść duszy wyjawię. Jeżeli naprawdę mienisz się przyjacielem moim, uczyni mi łaskę: znieś mi drzewa na stos. I wybacz, jeżeli kiedy z nazbyt wzbranego miłowaniem serca, niewłaściwie względem ciebie postąpił.“ Ale towarzysz, słysząc te słowa, z pociemniałemi oczyma wykrztusił przez łzy: „Co jest przyczyną cierpienia twego, kochany? Wyjaw ją, aby uczynione było wszystko, cokolwiek uczynione być może. Powiedziano bowiem:

Ziola, pieniądze, zaklęcia, rozum potężny, nic nie jest niedościgłe w świecie, cobyż znalazł się w jaju Brahmy.)

Jeżeli który z tych czterech środków będzie do użycia, to ja go użyję“. Odparł tkacz: „O nie drogi, bezsilne wobec mojej męczarni są i te cztery i tysiąc innych środków, nie odwielekaj przeto zgonu mego“. Na to kołodziej: „Skoro naprawdę nic się uczynić nie da, tedy opowiedz wszystko, abym i ja z tobą na stos wstąpił. Nie przeżyję ani chwili rozłąki z tobą“. „Druhu mój — zaczął tkacz — ledwie królową oną ujrzał, na słońiu siedzącą, natychmiast bóg miłości w ten mój stan wtrącił. A ja sił oto nie mam aby takie znośić udręki“. Lecz kołodziej roześmiał się na to. „Skoro tak się rzeczy mają, to bogom niechaj będzie chwała, przyjacielu! Cel nasz osią-

gnięty! Dziś jeszcze zajdzie twoje z nią spotkanie“. „O bracie — westchnął tkacz — jeżeli do komnat niewieścich nikt kromie wiatru nie znajduje drogi, jeżeli surowe czuwają strażę, jakże zająć może moje z nią spotkanie? I czemu mię mamiz kłamiwemi słowy?“ „Druhu — rzekł kołodziej — podziwiał potęgę rozumu mego!“

To mówiąc chwycił przenośne bierwiono ze starego drzewa ardzunowego i sporządził z niego Wajnateję¹⁾ o dwu parach ramion, z muszlą, z kołem, napięśnikiem, z lotosem w djademie i z Kaustubą²⁾ a wsadziwszy nań tkacza, opatrzonego we wszystkie oznaki Wisznu, przyjrzał się dziełu swojemu i rzekł: „Miły, jako ten Wisznu udasz się o północy do komnat niewieścich. Królową zastaniesz samotną na siódmym piętrze pałacu. Niewinna z natury, [uwierzy, żeś ty Wasudewa³⁾], ułudnemi, przymlnemi słowy uczyni ją wtedy swoją i naciesz się nią wedle przepisów Watsyjany.⁴⁾

Tak też uczynił tkacz. Przybrawszy postać Wasudewy dotarł pokryjomu do pałacu i przemówił do księżniczki: „Śpisz-li czy czuwasz, królewska córo? Jam oto gwoli miłowaniu poniechał Lakszmi⁵⁾ mojej i z oceanu zapłynął do ciebie. Niech się tedy mój z tobą dokona związek“. Ale królowa, widząc gościa na zbrojnym, czteroramiennym, zdobnym Kaustubą Garudzie, w zdumieniu uniosła się z pościeli, mówiąc: „O Wzniosły! robak ja niewiasta, nieczyste stworzenie, mnie jeno korzyć się godzi przed Władcą trzech światów. I tak się też stanie“. Odpowiedział tkacz: „Prawdę rzekłaś, luba. A jednak ongi małżonką mi była Rada, pasterskiego rodu dzieci i ona to właśnie wcieliła się teraz w ciebie. Oto czemu ku tobie przybywam“. „Skoro tak, o Wzniosły — odezwała się na to królowa — to proś o mnie ojca mego, a on mię wyprawą udaruje i tobie da za małżonkę“. Umiłowana, ja nie chadzam szlakami zwykłych ludzi. Na co nam słów tyle? Ty sama przez wesele Gandarwy⁶⁾ małżonką się moją uczyni. A jeśliby ojciec twój wykłać nas za to miał, ja go wraz z całą rodziną w popiół obrócę“. To mówiąc, zeskoczył z Garudy, ujawszy lewą dłoń dziewczyny, zestrachana, chwycającą się, spłonioną, zawłókl na posłanie. I całą noc, jak długa, aż do rana, pieścił ją wedle przepisów Watsyjany, o rozświcie zaś wym-

¹⁾ inaczej Garuda, ptak mitologiczny, który służył jako rumak Wisznu.

²⁾ klejnot, który Wisznu nosił na piersi.

³⁾ Wisznu

⁴⁾ autor „Kalegi miłości“.

⁵⁾ żona Wisznu.

⁶⁾ jeden z czterech rodzajów obrzędów ślubnych a hinduśwów, polegający jedynie na obopólnej zgodzie.

¹⁾ świat, wszechświat.

knął się niepostrzeżony. I w ten sposób odtąd czas mu zaczął płynąć.

Pewnego dnia jednak zauważyli służebnicy ranek na jej ustach z koralu i zaczęli szeptać między sobą: „Ej, patrzcie, ciało tej królewskiej dziewczyny wygląda jakby dotknięte przez męża! Jakże to stać się mogło w gorliwie strzeżonym domu? Donieśmy to królowi!“ I poszli wszyscy razem do króla, mówiąc: „Panie, my-ó niewinni, i mimo pilnego baczenia do komnat niewieścich ktoś wchodzi. Rozsądź tę sprawę, królu!“ Zatrząsa się władca, słysząc te słowa i pobiegł z nimi zaraz do królowej. „Dowiedz się, pani, co opowiadają sługi. Śmierć temu, kto to uczynił!“ Królowa, nieprzytomna z oburzenia, udała się natychmiast do skaleczonej dziewczyny i dostrzegła ślad zadrapania paznokciem na jej ciele. „Ha, niecna! — krzyknęła — zakało rodu! kto cię to skaleczył? Kto jest człowiek, co w obliczu Krittanty!) śmie przychodzić do ciebie? Musisz wyznać całą prawdę“. Królowna drżąca, z głową spuszczoną ku ziemi, opowiedziała szczegółowo historię o tkaczu w postaci Wisznu. Na tę wieść matka, z promieniającą twarzą, wśród najwyższych objawów radości pospieszyła do króla: „Panie — zawołała — bóstwom niech będzie cześć i sława! Szczęśliwym możemy się mienić! Codzień bowiem o północy wzniosły Narajana²⁾ schodzi do dziewczyny, która obrzędem Gandarwy jest mu poślubiona. Dziś w nocy zaraz staniemy oboje w oknie, aby zobaczyć jakim sposobem udaje mu się ominąć służbę“.

Rozradowanemu królowi dzień ten włókł się, jakby trwał sto lat. A kiedy wreszcie noc zapadła i obok królowej stanął w oknie, ze wrokiem wlepionym w niebo, zobaczył, że spuszcza się z góry jeździec na Garudzie, strojnym w muszlę, koło, napierśnik, lotos i czworo ramion, we wszystkie jak wiemy, boskie znamiona. Więc krzyknął, czując, że duszę ma po brzegi jakby zalaną nektarem: „O najdroższa, niemasz istoty szczęśliwszej nademnie i nad ciebie, których dziecię miłowane jest przez Narajanę. Oto szczyt wszystkich naszych marzeń! Teraz, dzięki wszechpotędze zięcia, cała ziemia w moją się władzę dostanie“.

I tak myślą wiedziony wdarł się w granice wszystkich sąsiednich ksiąząt. Ale oni, widząc najazd, wszyscy spolem wydali mu wojnę. Król tedy za pośrednictwem królowej, zwrócił się do córki: „Dziewczyno, skoroś ty dzieckiem mojem, jak to być może, aby wszyscy władcy ze mną boje toczyli? Niech małżonek twój obmyśli dzisiaj jak zniweczyć moich wrogów“. Królowna w nocy nieśmiało powtórzyła

te słowa tkaczowi. „Wzniosły, jakże to działać się może, że chociaż ty jesteś zięciem rodzica mojego, wrogowie go zwyciężają? Nie odmawiaj nam tej łaski, i pognęb ich wszystkich“. Tkacz odrzekł: „Luba, marni są wrogowie rodzica twojego. Wierzaj mi, w jednej chwili kołem mojem lśnieniem wszystkich ich w perzynę obrócę“.

Ale czas płynął a z nim państwo całe znalazło się w ręku nieprzyjaciół. Podchodzili już pod same mury grodu. Wtedy król, nieświadomy prawdy, obleczonego w kształty Wasudewy tkaczowi świetne złożył dary: kamforę, drzewo aloesowe, piżmo, wszystko, co tylko na świecie istnieje najwonnejszego, dalej najróżniejsze szaty, jadła i napoje aż wreszcie przez córkę kazał mu oznajmić: „Wzniosły, zaraz o poranku będziemy musieli zwinąć obozy. Wyczerpały się nasze zapasy zboża i drzewa na paliwo, ludzie nasi, umęczeni ranami, niezdolni stali się do dalszej walki a wielu poległo. Skoro wiesz już o tem, uczyni gwoili prośbom naszymi!“ Słyszając to, tkacz pomyślał: „Kiedy zwiną obóz, będę musiał rozłączyć się z królowną. To też dosiędę Garudy i ukazę im się uzbrojony w powietrzu. Nieprzyjaciele, widząc mię i mniemając, że Wasudewa, osłupieją, a wtedy żołnierze królewscy będą ich mogli wyróżnić. Bo mówi[ś] się:

I niejadowity wąż może nastawić wielki grzebień,
Czy ma truciznę czy jej nie ma, nabrzmiały grzebień budzi trwogę.

Albo też mnie, zawisłego w powietrzu, śmierć zdzobie. Ale w takim razie cudownie, bo jak powiadają:

„Kto da życie za krowę, za bramina, za władcę,
za niewiastę, za wojsko swoje,
Do tego należeć będą światy wiekuiste“.

Tak pomyślawszy, zrana odczwał się do królowy: „Najmilsza moja, kiedy wytepię wszystkich wrogów, powrócę się radować jadłem i napojem. Szkoda próżnych słów. Będę wtedy znowu przy tobie. Powiedz ojcu twojemu, aby o samem zaraniu wyszedł z miasta z całym wojskiem, a ja, zawisły w przestworzu, uczynię wrogów niezdolnymi do walki. Wtedy, szczęśliwy, niechaj ich zabija. Gdybym bowiem ja własną ręką ich uśmiercał, otworzyłaby się nikczemnym droga do nieba. Tak ich zatem należy wytrącać, aby zabici w locie do niebios trafić nie mogli“. Królowna poszła do ojca i powtórzyła mu usłyszane rady, tak, że on, pełen ufności, o świtanu z dobrze uzbrojonym wojskiem wyruszył do bitwy. Tkacz zaś, ślubowawszy śmierć, wzbił się na drogi niebieskie, nad potyczkę.

W tym to właśnie czasie wzniosły Narajana, w którym objawia się przeszłość, przyszłość i tera-

¹⁾ bóg śmierci, Jama.

²⁾ Wisznu.

źniejażość i o którym wiecznie winniśmy pamiętać, zwracając się do Wajnatel, mówił z uśmiechem: „Patrz, Garudo, jak tkacz w moją obleczony postać, na grzbiecie drewnianego Garudy, zaleca się do królewny”. „Doskonale widzę jego postępek, panie — odpowiedział zagadnięty. — Co nam teraz czynić wypada?”. Wielki i wzniosły rzekł: „Dzisiaj tkacz uczynił ślub śmierci i spełniając go, podążył do bitwy. Napewno rażony strzałami najprzedniejszego rycerstwa, padnie. A gdy poleże, ludzie powiedzą, że o świcie, w starciu z bojową drużyną, zginęli Wasudewa i Garuda, i świat odtąd przestanie nam cześć oddawać. To też jak najchyżej wejdz w drewnianego Garudę, ja zaś wsunę się w ciało tkacza, dzięki czemu będzie mógł zniszczyć wroga. A tak przez tegoż klęskę potęga nasza niemal wzrośnie”. Po takiej rozmowie najwyższy Narajana wstąpił w ciało tkacza, ten zaś, zawisły w błękitach, zbrojny w muszlę, w koło, łuk i napierśnicę, w jednej chwili, niemal igrając, obezwładnił wszystkich najęźszych wojo-

wników, którzy natychmiast padli z ręki króla i jego zastępów.

Uroczyście zaraz oznajmiono ludowi, jak wrogowie wszyscy pokonani zostali dzięki wszechmocy zięcia królewskiego, boga Wisznu. Tkacz tymczasem, widząc, że wszyscy już leżą martwi, wesoly na duszy opuścił się na ziemię. Poznali król, ministrowie, obywatele, ludność cała, ubogiego tkacza, mieszkańca ich grodu. Pytano, co to wszystko znaczy? więc od samego początku opowiedział dotychczasowe dzieje. Rozradowała się królowna zuchwałym czynem jego, a upojona jeszcze zdobytym przez pokonanie nieprzyjaciół blaskiem, w obecności wszystkiego ludu obrzędem weselnym była mu dana, a wraz z nią, dostał w darze całą krainę. I odtąd pędził przy niej czas, używając wszystkimi pięcioma zmysłami największych dóbr ludzkości, bo szczęścia i rozkoszy. To też powiedziano:

Udanemu oszustwu nawet Brahma nie patrzy na dno,
Tkacz w postaci Wisznu zaleca się do królewny.

Z oryginału sanskryckiego przełożyła JULIA DICKSTEINÓWNA.



August Zameyski. — Portret P. .K

WIELKI KRÓL

DRAMAT W 3 AKTACH

AMALJA HERTZÓWNA

OSOBY:

Cesarz Justynian		Kwesor Konstanty
Justyn, syn Wigilancji, curpalatus	jego sio-	Mnich
Justyn, syn Germanosa	strzeńcy	Kowal
Silentariusz Paweł		Zofia, żona Justyna, syna Wigilancji
Sergiusz, syn Doroteusza		Eudoxia, jego córka
Antemiusz		Mataswintha, wielkiego Teodoryka wnuka, wdowa po królu ostrogockim Witygesie i po Germanosie
Marcellus		Kobieta
Joannes		Dwie dziewczyny, sąsiadki kowala
Patrycjusz Belizar		
Petryjarcha		
Prefekt praetorio	Wschodu	
Piotr		

AKT I.

(Pole w okolicach Bizancjum, łąkowa równina, pokryta głazami. Od dalekiego lasu, za który słońce zajdzie niedługo, aż do stojącego na wzgórku namiotu strażników, leżą trupy. Oczywiście pobojuwisko. Sergiusz, Marcellus i Joannes siedzą w trawie przed namiotem, Antemiusz stoi koło nich.)

Podczas scen następnych na pobojuwisku zbierają się ludzie, wchodząc na scenę zrazu pojedynczo, następnie grupami; są to zarówno nawpół uzbrojeni żołnierze, jak i tłum uliczny, okoliczni chłopcy, a nawet kobiety. Jedni obdzierają poległych, kłócąc się zawzięcie o zdobycz i powracając obladowanymi łupem, inni przetrząsają krzaki, inni wreszcie oglądają trupy, szukając krewnych i przyjaciół. Niektórzy płaczą, większość jednak jest wesola, słysząc śmiech i gwar [rozmów... Pojedyncze] słowa do widzów nie dochodzą.)

ANTEMJUSZ *(śpiewa, a raczej mówi śpiewnie bez melodii i rytmu):*

Pobiliśmy wrogów.

Przeszli, jak szarańcza, nad naszymi polami,
Jak chmura gradowa, nad naszymi lasami,
Od kurzu stóp ich poczerniało oblicze nieba.

Pobiliśmy wrogów.

Ryczeli, jak stado wołów w rzeźni,
Gdy miecze nasze ścinały im głowy,
Gdy konie nasze deptały ich ciała.

Pobiliśmy wrogów.

Krew ich rozleliśmy szeroko, jak morze,
Krwia napoiła spragnioną ziemię,
Krwia zabarwiła trawę, jak wełnę.

Pobiliśmy wrogów!

Jak wiatr plevy rozsiewa po polu,
Tak my usialiśmy trupami równinę.

SERGJUSZ: E, skrzeczysz, jak żaba, mi'cz, jeśli nie umiesz weselej.

ANTEMJUSZ: *(wzrusza ramionami).*

SERGJUSZ: Pogadajmy lepiej... No, kto wam dobrze radził? Żeby cały obóz przeszukali, to nie znajdują.

JOANNES: Dla czego prefekt odbiera łupy... Będą rozdzielali sami, czy jak?

SERGJUSZ: A kto wie, co znów mądrego wymyślono w wielkim pałacu. Zresztą niech dziela, będziemy mieć więcej.

MARCELLUS: Na św. Sergiusza! Przyda się. Widziałem u jednego Persa czwórke koni... i w niebie chyba lepszych niema.

ANTEMJUSZ: Drogie?

SERGJUSZ: Gdzie mieszka ten Pers, Marcellusie? Czy nie w wąskiej ulicy, na prawo od Augusteonu, w sąsiedztwie ładnej dziewczki z niebieskimi oczyma?

MARCELLUS: Znasz go?

SERGJUSZ: I ją także, niestety. — Kosztowała mnie dosyć, a... *(krzywi się)*. I na niej i na jego koniach niedaleko zajedziesz, wywłoki...

ANTEMJUSZ: Zaraz powiedziałem, że nic nie warte, kiedy się Marcellusowi podobały. Do brzeby nasze stronnictwo wyglądało, gdyby...

SERGJUSZ: Proszę was, nie przypominajcie mi ciągle cyrku. Sprzykrzyły mi się te bezustanne zwycięstwa. Nie patrzę teraz nawet na arenę, tak pewny jestem naszej wygranej.

ANTEMJUSZ: Głupi ci uwierzy... Wina niema?

JOANNES: Nie... Jużem się przed gozdnią pytał.

MARCELLUS: Za to jutro będzie wszystkiego wbród, gdy odkopimy nasze łupy...

SERGJUSZ: Głośniejsze trochę, i dodaj zaraz, gdzieś je zakopali! Nie mamy nic, rozumiesz, nic.

MARCELLUS: Dobrze, dobrze. Powiedz mi, Sergiuszu, dlaczego w mieście umierali ze strachu wczoraj?

ANTEMJUSZ: Z nadmiaru odwagi.

MARCELLUS: Nie przerywaj, daj mi chwalić Hunnów... Pocziwie stworzenia! Żaden nie śmiał bronić się nawet, szli, jak barany pod nóż, do prawdy.

SERGJUSZ: Moglibyśmy wybić ich co do nogi, gdyby te zawistne psy w pałacu nie były pogoni wstrzymały.

ANTEMJUSZ: A szkoda... Spodobała mi się wojna.

SERGJUSZ: Czy to wojna? Pomaszeruj, kochanku, 14 godzin na skwarze, a później napij się na wieczercę trochę błotnistej wody i przegryź zgnitym chlebem, przysłanym przez prefekta. Jego kochance właśnie pereł się zachciało, więc... (*robi ruch zagarnienia pieniędzy*). Zobaczyłbyś, jak wojna smakuje.

MARCELLUS: Nie chwal się, i w stolicy mieliśmy cuchnący chleb z jego łaski...

SERGJUSZ: Naprawdę? A to baba nie-nasycona.

(*Zjawia się Paweł Silentarjusz, Antemjusz spotrząga go pierwszy.*)

ANTEMJUSZ (*Półgłosem, a niechętnie*): Czemu przyszedł?

(*Paweł Silentarjusz podchodzi do nich.*)

MARCELLUS: Daj mu spokój, mało się to hołoty włóczy.

ANTEMJUSZ: Ale ci (*pokazuje pole*) przynajmniej wiem, po co przyszedł.

MARCELLUS: Może i on chce pożywić się dzisiaj.

(*Silentarjusz Paweł uśmiecha się drwiąc i usuwa się od nich.*)

PAWEŁ: (*do Sergjusza*): Myślałem, że cię zastanę samego.

SERGJUSZ: I chciałeś mnie rozerwać rozmową, dziękuję... Nie mam teraz cierpliwości do słuchania rozpaczliwych żalów nad upadkiem Rzymu. To dawniej było, kiedy ci jeszcze wierzyłem, ale teraz po zwycięstwie, po moim zwycięstwie, bo ja zwyciężyłem, ja... Idź, spytaj się w obozie... Byłem prawą ręką wodza.

JOANNES: Tak, to prawda.

SERGJUSZ: Było nas trzystu żołnierzy rzymskich przeciwko tysiącom Hunnów, i patrz (*wskazuje pobożowisko*).

PAWEŁ: A oni jednak przyjdą tu, oni, i las za nimi. (*po chwili*) Wilki wyć będą na ulicach Bizancjum, między ruinami kościołów i pałaców, jak w miastach Gallji, jak w Rzymie, jak wszędzie.

SERGJUSZ (*ironicznie*): Hm... tę nowinę przyniosłeś nam z miasta. Mogłeś być oszczędzić sobie trudu. (*do sługi*) Wina dawaj. (*do Pawła*) A ty wracaj, skąd przyszedłeś i przepowiadaj dalej przyszłość takim bohaterom, jak ty, którzy się pod suknie kubieccy schowali podczas bitwy... My się słów nie boimy.

MARCELLUS: Nie, dla Boga! I wrogów także nie.

JOANNES (*do Sergjusza*): Daj mu spokój, niech zostanie, nikt i tak nie zważa na niego. PAWEŁ: Prawda, takie nędzne stworzenie, jak ja.

JOANNES: Nie chciałem cię urazić.

ANTEMJUSZ: Ech, te wszystkie szczury północne.

SERGJUSZ: (*do sługi*): Dlaczego wina nie dajesz?

SŁUGA: Niema.

SERGJUSZ: Zapomniałem.

MARCELLUS: Mogli byli z miasta nam przysłać.

ANTEMJUSZ: Mogli, ale nie przysłali... Tfu! Ani dziewcząt, ani wina!

MARCELLUS: Odbijemy sobie to później, zobaczysz.

SERGJUSZ: Trzymajże język za zębami babo. Swoją drogą szkoda, że dziewcząt niema, bo nudno tu okropnie, Antemjusz, zaśpiewaj tam co znowu, najdroższy... Mizerna to rorywka, ale lepsza, niż żadna... Dalej (*Antemjusz milczy*). Nad czym się tak zamysliłeś?

ANTEMJUSZ: A nad tem, że sobie damy z przed nosa zabierać, Bóg wie co (*pokazuje pole*), gadając o głupstwach.

JOANNES: Nie bądźiesz przecież trupów obdzierał.

MARCELLUS: I tę trochę łachów!

ANTEMJUSZ: Trochę łachów, naprawdę! Zobacz no, co tam niesie. (*podchodzi do przechodzącego człowieka i chwytą go za ręce*).

CZŁOWIEK (*szamacąc się*). Puść mnie!

ANTEMJUSZ (*pokazując wyrwany naszyjnik*): A jak to się wam podoba?

CZŁOWIEK: Oddaj mi, panie, na miłosierdzie boskie, przyjdzie prefekt, to ani mnie, ani tobie.

SERGJUSZ: Oddaj mu.

ANTEMJUSZ: Rzeczywiście! Myśm się może bili, żeby tę hołotę wzbogacać.

CZŁOWIEK: A bo to my podatków nie płacim?

SERGJUSZ: (*do Antemjusza*): Nie wstyd ci w takiej chwili? Myślałby kto, że jedynie dla łupu walczyłeś.

ANTEMJUSZ: Dla czego walczyłem, to walczyłem, a teraz mi się należy.

SERGJUSZ: Tfu, obrzydliwy... Że też takie bydle, jak Antemjusz, umie pieśni układać.

MARCELLUS: Zaraz bydlę! Tybyś sam nie pogardził taką gratką, gdybyś się Silentarjusza Pawła nie wstydził.

SERGJUSZ: Nie trzeba mi Silentarjusza Pawła... *(Spostrzega nawpół drwiący, nawpół bolesny uśmiech Pawła, z gniewem)*. A ty czego się cieszysz?

PAWEŁ *(zdziwiony)*: Ja?

SERGJUSZ: Uśmiechasz się.

PAWEŁ: Podwładni twoi cię nie słuchają, Sergjuszu.

SERGJUSZ: Po bitwie cóż to szkodzi. Nasi żołnierze czasami i przed walką... *(sposstrzegając, co mówi)*, ale u barbarzyńców jeszcze gorzej i nie ma się ich czego obawiać: jesteśmy bardziej ćwiczeni w rzemiośle rycerskim i dzielniejsi.

PAWEŁ: Dużo ich bardzo... Lasy na północy pełne są ludzi... Skąd się oni wzięli? Jak mrowia! Coraz ich więcej! I wszyscy ciągną na nas, a później dzuma, i trzęsienie ziemi i głód... i my, my sami, chyba niegodniśmy życia.

MARCELLUS: *(przez zęby)* Jak kto.

PAWEŁ: Gdybym chociaż wiedział co później będzie, ale ja, ja sobie nawet nie mogę wyobrazić przyszłości świata bez Bizancjum.

MARCELLUS: I nikt sobie tego wyobrazić nie może, bo Bizancjum będzie stało wiecznie.

PAWEŁ: Jak Roma!

CZŁOWIEK *(który dotąd nie ruszał się z miejsca)*: A ja swój naszyjnik dostanę?

SERGJUSZ: Wynos się! *(Człowiek, odchodzi mrucząc pod nosem)*, *(do Pawła)*: I ty także idź sobie... Nie wierzę ci, ale zmęczony jestem twojimi słowami, idź...

PAWEŁ: Będę milczał.

SERGJUSZ: Nie, nie, kiedy patrzę na ciebie... I ty sam... Tobie pewno przykry jest widok trupów.

ANTEMJUSZ *(oglądając swój naszyjnik)*: Myślałby kto, że się go boisz. Niech gada, co to szkodzi.

SERGJUSZ *(ściągając brwi)*: Wiele ty wiesz... Gdyby w mieście nie było tyle zbrodni i krzywdy... ale i tak! Czy grzechy nasze są tak wielkie, że Bóg musi nas pokarać śmiercią i zniszczeniem?

PAWEŁ: To nie są grzechy nasze.

SERGJUSZ: Więc tak bez powodu? *(odetchnął głęboko)*. Nie wierzę ci, Bóg dba o nas i ochroni swoich jedynych wyznawców od zguby.

MARCELLUS: No, jedynych!... I nie jeden barbarzyńca jest chrześcijaninem.

SERGJUSZ: Wszystko jedno, czem są barbarzyńcy. Oni sami nie wiedzą, w co wierzą, a w co nie.

ANTEMJUSZ: I Bóg na pewno woli, żeby go czczono w Świętej Zofii, gdzie światło rodzi się

ze złotych mozaik ścian, niż w drewnianych szopach barbarzyńców.

SERGJUSZ *(cischo)*: Czasami zdaje mi się, że Bóg umarł, i że sto tysięcy demonów pomijało sprawy świata.

MARCELLUS: Milcz, heretyku, bo jak doniosę prefektowi, to zaraz będzie koniec świata dla ciebie.

SERGJUSZ: Nie doniesiesz, bo cię zarżnę, jak prosiaka. A ty, Pawle, licz się ze słowami, nawet tutaj. *(Po chwili)*: Co mnie obchodzi, co jutro będzie, dziś jestem młody i silny i chcę walczyć, choćbym miał sam jeden wystąpić przeciw setkom wrogów, choćbym miał ramionami podpieierać walące się mury miasta, ja i dzieci moje po mnie.

PAWEŁ: Przeknął dzień swego urodzenia w niewoli barbarzyńskiej.

(Joannes nagle wybucha płaczem)

ANTEMJUSZ: Czemu płaczesz, kiedy to wszystko nieprawda.

SERGJUSZ *(do Pawła)*: Prędzej je własną rękę zabiję... Ale dzieci moje będą umiały umrzeć, gdy pora nadejdzie, jak ja...

(Prefekt Praetorio wszedł przed chwilą w towarzystwie sług swoich i usiadł na pobliskim wzgórku.)

PREFEKT *(do sługi)*: Czyj namiot? Idź, zawiezij go. *(do innych)*: Pokażcie listę łupów *(bierzcie pergamin z ich ręki)*.

PAWEŁ *(po chwili milczenia)*: Dlaczego nie zostałeś na granicy, Sergjuszu?

SERGJUSZ: Patrycjusz zawezwał mnie do stolicy... I tu jesteśmy jeszcze panami, a tam... Bezczelni są barbarzyńcy... *(urywa... ze łzami w słoście)*: Och, ty!... Tak, państwo jest bliskie zguby, tak, doczekamy się końca Bizancjum, my jeszcze. O, ty! zadowolony jesteś, szczęśliwy... Udało ci się nareszcie.

SŁUGA PREFEKTA *(podchodząc)*: Jego dostojność, prefekt praetorio, życzy sobie mówić z wami. *(Młodzieńcy wstają i podchodzą do prefekta.)*

PREFEKT *(przeglądając listy trzymane w ręce)*: Ach, to ty, Sergjuszu... Cieszy mnie, żeś zdrów powrócił z boju.

SERGJUSZ: Wasza dostojność zbyt łaskawa.

SŁUGA PREFEKTA *(wskazując ludzi na połu)*: A tym nie odebrać?

PREFEKT *(podnosząc oczy)*: Nie, nie warto... Hm, nie rozumiem dlaczego nasza prowincja tak uskarża się na Hunnów. Ci barbarzyńcy są dziewiczej skromności. Po zdobyciu ich obozu znaleziono tylko trochę bydła i bractów.

SERGJUSZ: Co wasza dostojność prze-
gląda?

PREFEKT: Listę łupów, które odebrałem
żołnierzom.

SERGJUSZ: Dla czego?

PREFEKT: Dla tego — że się Basileu-
szowi podobało rozkazać... *(urywa)*. Będzie mi się
tutaj o powody pytać, chłystek.

SERGJUSZ: Podług prawa...

PREFEKT: Niema prawa, jest tylko wola
Basileusza. *(po chwili łagodniej)* No, Sergjuszu, mu-
szę i od ciebie żądać wydania łupów.

SERGJUSZ: Ja, wasza dostojność, nic nie
mam. Uniesiony zapalem walki, nie dbałem o zdo-
bycze.

PREFEKT: Nie kończ, mój drogi, niczego
innego po tobie się nie spodziewałem *(do sług swo-
ich)*: Idźcie, przeszukajcie wszystkie namioty, ba-
dajcie przedewszystkiem ziemię... łatwo rozróżnić
świeżo skopaną... No, i nie zapominajcie o spróchnia-
łych drzewach i tym podobnych skrytkach...
Gdybyście napotkali jakiego pocziwego chłopca,
któryby zechciał zdradzić tajemnicę swoich towa-
rzyszy, to możecie mu obiecać hojną nagrodę...
Obiecać tylko, jest was tylu, że jeśli mu nic nie
dacie... *(urywa)* *(do Sergjusza, wskazującego żołnie-
rza, stojącego przy namiocie)*: Twój sługa?

SERGJUSZ: Tak, panie!

PREFEKT: Hola człowieku, *(kiwa na niego.
sługa podchodzi)*, idź z moimi sługami, pomagaj im...
pamiętaj, że potrafisz hojnie nagradzać gorliwych, a su-
rowo karać opieszalnych. *(Sergjusz robi ruch, jakby
chciał wstrzymać swego sługę.)* Potrzebny ci? Tru-
dno mój drogi, służba przedewszystkiem... Sam wi-
dzisz, że mam dużo do roboty, a słońce zajdzie nie-
długo... Dalej, prędzej. *(Sługa wychodzi)*.

MARCELLUS: Czy wasza dostojność spo-
dziewa się dużo znaleźć w ten sposób?

PREFEKT *(przegląda listy, mruczając coś pod
nosem.)*

SILENT. PAWEŁ: Wasza dostojność nie
obawia się buntu?

PREFEKT: *(Nie podnosząc głowy.)* Nie, zmę-
czeni są po bitwie, i sporo ludzi mam ze sobą...
zresztą — *(macha ręką i mruczy dalek)*.

MARCELLUS *(do Sergjusza)*: Twój sługa
nie zdradzi?

SERGJUSZ: Czy ja wiem... Może i nie...
uratował mi niegdyś życie, i ja jemu...

MARCELLUS: Nic nie znaczy... Żle z nami.

SERGJUSZ: Cicho.

*(Wchodzi: Mataswintha, Eudoxia, Belizar i kilku
urzędników pałacowych. Mataswintha staje na wzgó-*

*ku, zakłada ręce za głowę i patrzy w milczeniu na
pobojowisko).*

EUDOXIA: Dlaczegoś mi tu przyjść ka-
zała?... Wróćmy. Późno już, boję się.

MATASWINTHA: Patrz, patrz...

EUDOXIA: Widzę, nic ciekawego. Co oni
robią?

SERGJUSZ: Obdzierają trupy.

EUDOXIA: Czy to wolno?

BELIZAR: W Rzymie wszystkich obdzierać
wolno, i żywych i umarłych. Spytaj się, księżniczko,
prefekta.

*(Niedaleko od nich jakaś kobieta tańczy na tru-
pie).*

MATASWINTHA: O tak, tak, doskonale...
Wbij mu twarz w ziemię. Tupnij z całej siły, żeby
aż zęby chrupnęły... Nie możesz? *(Kobieta kłęka
koło trupa i kamieniem tłucze go po głowie. Matas-
wintha wybucha śmiechem, wyrывa sakiewkę z za
pasa i rzuca ją megerze).*

PREFEKT: *(Ciągnąc ją za suknie)*. Na Boga
i Jego Świętą Rodzicielkę, księżno, nie mogę patrzeć
spokojnie na podobne marnotrawstwo.

MATASWINTHA: To nie patrz. Po coś
przyszedł wogóle?

BELIZAR: Odbiera zdobycz żołnierzom.

PREFEKT: Taki rozkaz wyszedł z pałacu.
I słusznie, patrycjuszu, i sprawiedliwie. Należy zwró-
cić naszym biednym chłopom, złupionym przez Hun-
nów, ich dobytek.

BELIZAR: Przysięgnij, że rozkaz wy-
szedł od Cesarza... Nie możesz, co? O wasz cały
święty pałac, znam go dobrze... Od wielu lat...
Gniecie was moja popularność, chcielibyście, żeby
mnie lud nienawidził, jak was nienawidził... I o, co
wymyślił... ale przysięgam wam, żołnierz wie do-
skonałe, że nie ja...

PREFEKT: Kto tam o was myślał, patry-
cjuszu... Pieniądzy nam potrzeba, jak zwykle, no
i mamy specjalny wydatek.

BELIZAR: Jaki?

PREFEKT: Pozwól, że zachowam to w ta-
jemnicy. Duży wydatek, bardzo duży. W dodatku,
o ile się nie przesłyszałem, księżna przyrzekała coś
żołnierzom.

MATASWINTHA: Obiecowałam we wła-
snem imieniu...

PREFEKT: I w imieniu swego syna, słu-
sznie, żeby przyszły Cesarz skarbił sobie łaski ludu.

MATASWINTHA: Nie, nie przyszły ce-
sarz, jeno ja, wdowa po Germanosie, ich wodzu...
Dlaczego wszystko przekręcasz, powiedziałaś wy-
raźnie.

PREFEKT: Tak jednak mówić będą w świętym pałacu....

MATASWINTHA: Naprawdę (po chwili). Eudoxia była ze mną, może poświadczyć (z nagłym wybuchem gniewu). Wszyscy przeciwko nam, wszyscy przeciwko nam.... A Zofia? Jej wszystko wolno.... O ona, jakby już była cesarzową, jakby już stała w amfiteatrze z koroną na głowie.... Słyszałeś, co powiedziała wczoraj, nie, dwa dni temu do.....

PREFEKT: Cesarz wie o tem.

MATASWINTHA: Wie? I co, i co? Kto mu powiedział, prefekcie? (ogląda się i widzi, że Eudoxia i młodzi żołnierze stoją cokolwiek dalej). Mów ciszej (do Belizara): Patrycjuszu, ty zawsze kochałeś mego syna.

(Belizar nie zważa na nią, wsparty na kij, patrzy na pobojuwisko zagasłymi oczyma. Mataswintha i prefekt szepczą do siebie, Eudoxia, która dotychczas spogląda ukradkiem na młodzieńców, a oni na nią, mówią).

EUDOXIA: Wszystko słyszę. Umawia się z nim. Co ona dziś już nagadała. Wszystko powtórzę w domu, na to mić też z nią posłali (przysłuchuje się, po chwili): Czy to prawda, że cesarz zaginiany na mego ojca?

SERGJUSZ: Nie wiem.

EUDOXIA: Uśmiecha się do niego, taka stara, a uśmiecha się, ale to jej nic nie pomoże.

JOANNES: Dla czego?

EUDOXIA: (przechylając głowę): Bo ja tak chcę, żeby mój ojciec był cesarzem. (Niedaleko od nich jakaś kobieta przypadła, zawodząc do trupa, Eudoxia krzywi się): Krzyczy. Nic przez nią nie słyszę.

SERGJUSZ: (Potracając kobietę): Milcz.

EUDOXIA: Tak, przegoń ją.

SERGJUSZ (ciągnąc kobietę za ramię): Ruszaj stąd.

KOBIETA: Puść mnie, ty zatraconeńce.

SERGJUSZ: Czy nie słyszałeś?... Przeszkadzasz nam tutaj. (Kobieta odwraca się nagle i gryzie go w rękę. Sergjusz wydaje lekki okrzyk i puszcza ją).

KOBIETA: Boisz się, psie, choć ja ci trochę krwi utoczyłem, kiedy Hunnowie nie zdążyli. (Ludzie zaczynają się zbierać koło nich).

SERGJUSZ: Ty, diable wcielony (chce ją uderzyć).

JOANNES (zatrzymując go): Zostaw, przecież kobieta.

SERGJUSZ (pokazując zranioną rękę): Patrz.

KOBIETA: Czego chcecie ode mnie? (ze złością). Wie Pan Bóg, co robi.... Tylu was tu stoi zdrowych i całych... co wy umiecie? Kłócić się w amfiteatrze i bić na ulicy... Potrzebniście może komu? Tu wam leżeć na tej ziemi, zdychając, nie jemu.

EUDOXIA: Gniewa się, czy to jej mąż?

KOBIETA: Co ja z dziećmi teraz zrobię? Potopię chyba, jak szczeniaki... Ty mi może dasz na utrzymanie?

ANTEMJUSZ: Oj co to, to nie, znajdzie sobie młodszą i ładniejszą. (Stojący w pobliżu śmieją się do rozpuku. Eudoxia pokłada się ze śmiechu. Mataswintha przerwała rozmowę z prefektem, patrzy na nich, jeden Belizar nie zwraca uwagi na kłótnię, stoi, jak przedtem, z twarzą zwróconą ku zachodzącemu słońcu, mruczy coś pod nosem).

KOBIETA: Psy, psy nieczyste, wy dręczyciele, wy, pijawki krwi ludzkiej... Żaluję, żaluję, że Hunnowie miasta nie zdobyli, byłibyśmy wszyscy równi wtedy, a wy... (placze w bezsilnej złości). Gorsiście od trzęsienia ziemi, od zarazy, od barbarzyńców (do Eudoxii). Ty, kukło malowana.

EUDOXIA: Jak śmiesz, na śmierć cię zaćwiczyć każę.

PREFEKT: Niech krzyczy, pani, niech krzyczy, trzeba ludziom zawsze na mówienie pozwalać, to im dobrze robi, a nam nie szkodzi.

KOBIETA (do Prefekta): Po co przylazłeś? Chcesz z trupów ściągać podatki, masz, masz, duś go teraz... Póki żył, żyć mu nie dawałeś... Płać i plać, wskrześ go teraz.

PREFEKT: Moja kobieto, cudów robić nie umiem.

SILENT. PAWEŁ: Wasza dostojność się nie docenia.

PREFEKT (wybuchając śmiechem): Sądziś (po chwili): Gdyby to, choć inni ocenić umieli (z goryczą): Ale nikt nie napelni beczki bez dna.

KOBIETA (głośno łka, wygraża pięściami i pluje w kierunku wzgórków).

EUDOXIA (w porwywie szalonego gniewu, tupiąc nogami): Przegnać ją natychmiast. (Podnosi kamień i rzuca w nią kobietę, trafia jednak w jednego ze stojących obok niej gapiów).

(C. D. N.)

MISCELLANEA.

WYCINANKI

„Kurier Poznański”:

W Stowarzyszeniu Artystów Michał Wywiórski, ulubieniec Wielkopolski, zastąpił apostoła swoistego piękną i przyrody, wystawił duże i ładne rzeczy: Jesienny poranek na polach, osnuty mgłą, ubarwioną przedzierającą się przez nią blaskami jutrzienki — z dwoma pasącymi się sarnami, jako sztafaż i „Z Księstwa”, doskonale malowana rozjeżdżona polna droga, ciągnąca się prosto jakby strzelił wśród drzemiących pod śniegiem łąnów. Toczy się po niej z holenderską precyzją odtworzony wóz. — Z artystów krakowskich Gałek przedstawił nowe oblicze. — Jego studia Tatr, zawsze pełne prawdy i siły, obecnie wykazują technikę jeszcze więcej pogłębioną i koloryt wyrazistszy, pełen estetycznych kontrastów o wielkiej jednocześnie miękkości...”

Z ESTRADY KONCERTOWEJ

„Kurier Poznański”:

„Wczorajszą wieczór urządzony staraniem komitetu na rzecz Czytelnii i Biblioteki im. Kraszewskiego miał powodzenie artystyczne, lecz nie miał finansowego. Z tego też powodu minął się z właściwym swym celem; koncerty wspomnianej bowiem instytucji kulturalnej, nie mającej jednakże zresztą nie wspólnego z stroną muzyczną życia kulturalnego, o tyle posiadają rację bytu, o ile przysparzają instytucji swej funduszy.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI.

Paul M. E. w W. Prosi Pani o broń, o drogowskazy i wytyczne. Ignoramus. Późniejsze czasy zrobią sobie mądre formułki, gdy wysiłki nasze ustąpią nowemu szukaniu. Na razie atrzeżmy się katechizmów. Stara skorupa europejskiej cywilizacji — niechaj kto chce nazywa to kulturą — pęka pod naporem kielkującego ducha nowego. Nie wiadomo, co wyrośnie. Zwracając chcemy tylko uwagę na miejsca zapowiadające wiosnę. Wymienimy więc i rzeczy sprzeczne, i rzeczy, których nicość może już dzień jutrzejszy wykaże.

Erratum: W zeszyście 1 tomu V zamiast podpisu Matisse pod rysunkiem na stronie 5 winno być *Picasso*.

Ukazały się dwa tomy

„BIBLIOTEKI ZDROJU”

1) Ekspresjonizm - Słowacki i »Genezis z Ducha«

Stanisława Przybyszewskiego

2) Między wiosną i latem najświętsza godzina

Paul Claudel

W zbiorze tym wydawać będziemy nadal wszelkie ważniejsze publikacje i utwory z łamów pisma naszego.

Przyjaciół »Zdroju« prosimy o poparcie.

Jeszcze prądy rozbieżne nie zwały się w jedno, aby mózgi rozpoznać twarz dnia — nie będziemy więc sądzili — pozostawiamy to drobnym zabiegom epigonów i historyków.

Niechaj nam zarzucą, że jedynym powodem naszym jest przesyt i zblazowanie — nie będziemy się bronili. Przecistawienie się czasowi i znaczne oddalenie nasze od żyjących (dogorywających) hasel argumenty, jako że trudno wygodny rzucić pomost z bieguna do bieguna.

Pracę poznania nowego ducha trzeba więc pozostawić każdemu z osobna. Pamiętać przecież należy, że chodzi o ducha a nie o program. A kwestię formy artystycznej zupełnie z dyskusji wykreślić musimy — sprawa bowiem jest istotna a nie formalna.

Ze sporadycznych dzisiaj zdarzeń złożyć trzeba całość podwaliny duchowej, która w każdej dziedzinie czynności ludzkiej się objawia. Przestrzeń obejmująca wszystko — od mów Wilsona począwszy, a skończywszy na zagadnieniach artystycznych — polem jest obserwacji i nie ludzkiego nie powinno ująć uwadze.

Wyliczmy kilka terenów walki.

„Demail” pismo francuskie i „Dada”, czasopismo wychodzące w Zurychu; wspomniana na łamach naszych berlińska „Aktion” i „Cerven” organ czeski; polecamy uwadze Kandiańskiego dzieła „Ueber das Geistige in der Kunst” i „Der blaue Reiter”.

— Otóż wydawnictwa zasadnicze. W naszej mocy wskazać jedynie ludzi i kierunek — reszta jest rzeczą czytelnika, t. zw. człowieka, który nie szuka w czytaniu rozrywki.

KSIĄŻKI NADESŁANE:

Sen o wiosennem świtanie — Wacław Husarski. Warszawa 1918. Skład główny Gebethner i Wolff.

Poezje — Celina Dąglówna. Warszawa 1918. Skład główny Gebethner i Wolff.

Miecz przeciw duszy — Artur Prędzki. Nakładem A. Prędzkiego.

Z zagonów życia i śmierci (poezje) — Stanisław Falkiewicz. Warszawa 1918. Skład główny Gebethner i Wolff.

Oryginalne drzeworyty i akwaforty

Artystów: Jerzego Hulewicza, Małgorzaty Kubickiej, Stanisława Kubickiego, Stefana Szmaja, Władysława Skotarka, Jana Wronieckiego, Augusta Zamoyskiego



nabyć można za pośrednictwem naszem



REDAKCJA „ZDROJU” — Poznań, Plac Wilhelmowski 17

Pedagogium Poznań

Sekretariat:

ulica Wilhelmowska nr. 25

od 9—1 i 3—6,
dyrktorjat od 5 6.

Przygotowuje od seksty do prymy (promocja co pół roku), tudzież do egzaminów jednorocznych, prymańskich i abiturjenckich. Egzaminy dla wojaków i uczniów szkół ludowych. : : :

Pensjonat dla uczniów

wie własnym domu (centralne ogrzewanie, światło elektryczne itd.). Znowu osiągnięto znakomite rezultaty. Specjalne kursy dla pań.

Ilustrowany prospekt bezpłatnie.

Lekcje rozpoczynają się w początkach listopada. : :

„POLSKA”

PISMO TYGODNIOWE Z OBRAZKAMI,
POLITYCZNE, SPOŁECZNE, OŚWIA-
TOWE, GOSPODARCZE, SPRAWOM
LUDU POLSKIEGO POŚWIĘCONE.

Prenumerować można wprost z redakcji:

Warszawa, ul. Hortensji, Nr. 7, m. 21.

oraz

na wszystkich pocztach w okupacji niemieckiej.
(Skrzynka pocztowa No. 64).

PRZEDPŁATA wynosi rocznie 10 mk. półrocznie 5 mk., kwartalnie 2 mk. 75 fen. miesięcznie 1 mk. w okupacji niemieckiej, a 15 koron rocznie, 7 kor. 50 hal. półrocznie, 4 kor. kwartalnie i kor. 50 hal. w okupacji austriackiej.

„OSTOJA”

Spółka Wydawnicza
w Poznaniu

poleca jako nowość

Adolfa Nowaczyńskiego

Szkice
literackie

Cena mk. 9.—

Nabyć można
w wszystkich księ-
garniach. :

MASKI

Czasopismo ilustrowane, poświęcone
literaturze, sztuce i satyrze : : :

Wychodzi 1. 10. i 20. w miesiącu — — Adres Redakcji i administracji: KRAKÓW, Wolska 1 19
Prenumerata z przesyłką: kwartalnie 20 kor. — półrocznie 38 kor. — rocznie 75kor.

Druk nowej powieści K. Tetmajera p. t. „Walka”, cykl „Listów ze wsi Wł. Orkana. Z dniem 1. lipca druk cyklu nowel tatrzańskich K. Tetmajera, które obejmą nowy VIII. tom „Skałnego Podhala.”

Na Poznań i W. Ks. Poznańskie główne zastępstwo sprzedaży „Masek”
objęła Księgarnia A. Cybulskiego w Poznaniu.

S. KALAMAJSKI, Plac Wilhelmowski 2.

Dla Pań		Dla dzieci		Dla panów	
Bluzki	Pończochy	Sukienki	Torebki	Skarpety	Szelki
Gorsely	Rękawiczki	Trykoty	Kołnierzyki	Rękawiczki	Trykoty
Halki	Kołnierzyki	Fartuszki	Kapelusze	Krawaty	Parasole
TOWARY KRÓTKIE — KORONKI — WSTAŻKI.					

Wielkie Sale Wystawowe

znajdują się teraz

przy ul. Berlińskiej 10 wysoki parter

Antykwariat - Stała wystawa obrazów.

K. ANDRZEJEWSKI, Poznań, ul. Berlińska 10 w. p.

ZAKŁAD OŚWIETLANIA

LOUIS PERLS,

POZNAŃ, ul. Berlińska 18 (Teatr Polski).

Telef. 3133

Telef. 3133.

**Nadzwyczajny wybór
wykwintnych przedmiotów do oświetlania
elektrycznego, gazowego i okowicianego
w wytwornem i skromnem wykonaniu.**

Aparaty do gotowania i ogrzewania

Bracia Kiwi

2947 Poznań, ul. Wiktoryi 9 Tel. 2947

**Cieszący się najlepszą renomą
magazyn stylowych wielkopańskich
urządzeń mieszkalnych.**

∴ ∴ Najwyższa sprawność. ∴ ∴

Fortepjany, pianina i harmonja.

Jak wiadomo, tylko fabrykaty pierwszorzędne,
także Bechsteina, Berdixa, Steinwaga, Schiedmayera, Hinkla, Horügla, Burgera Ltd.

Karol Ecke w Poznaniu, ul. Wiktoryi 19

założ. 1843

Berlin-Drezno. Najwięk. i najstarszy magazyn. Katalogi bezpłatnie.

